Nr. 20. Lwów. — Sobota dnia 25 stycznia Rok 1890

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1·10 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Dwumiesięcznie 2·10 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Kwartalnie 3·— „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12·— „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2.
„ przy ulicy Karola Ludwika liczba 5.
„ „ Jagiellońskiej liczba 4.
„ „ „ Słowackiego (obok łazienek Djany)
Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Nawrócenie ś. P.
Jutro: E. 3 po 3 Kr. Pauliny.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 45
Zachód „ „ 4 „ 41

Długość dnia 8 g. 57 m.
Przybyło dnia 3 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 24 stycznia.

Jeśli przysłowia są mądrością narodów, to Hans i Michel z pewnością nie są mędrcami. Mówią oni: Eine Lüge hat kurze Beine, co jest widoczną kalumnją na kłamstwo, które raczej chodzi w siedmiomilowych butach. „Prawda jest żółwiem, a kłamstwo motylem“ — mówią Persowie i mają rację. Prawda rozpowszechnia się tak powoli, że często zdaje się być martwą, a jednak żyje długo i koniec końców cały świat obejdzie; motyl fruwa szybko, jest tu, tam, ówdzie, wszędzie błyśnie, olśni swem ubarwieniem, porwie za sobą ciekawych dzieciaków — i przepadnie nie wiadomo gdzie.

Tak właśnie jest z prawdą i kłamstwem o austrjackiem stanowisku w sprawie bułgarskiej. Austrja, jako mocarstwo, tak samo nic nie robi w tej sprawie, jak cała reszta zachodniej Europy, która rzekła: „nie mięszam się do niczego, żeby za nic nie odpowiadać.“ Zostawiona sama sobie, Bułgarja poczuła się jakby na księżycu i bez obawy o jakiekolwiek zewnętrzne przeszkody zaczęła się zagospodarowywać w domu. Jedynym jej nieprzyjacielem w tej robocie są panslawiści, z którymi ona bez ceremonji daje sobie radę. To oczywiście ich gniewa i oburza; w głowie im się pomieścić nie może, żeby mała Bułgarja śmiała opór stawić im, którzy występują w imieniu wielkiej Rosji. Więc podejrzewają intrygę, a któżby ją robił? No, oczywiście Austrja, bo najprzód jest katolicka, potem ks. Ferdynand służył w austrjackiem wojsku, w końcu nasz Cesarz w przeszłym roku odezwał się o Bułgarji bardzo życzliwie, a w tym roku kapitaliści wiedeńscy dali jej pieniądze. Stało się tedy w umysłach panslawistycznych aksiomatem, że Austrja prowadzi jakąś bułgarską akcją. Zdobywszy tę urojoną podstawę, zaczęli na niej dziergać różne arabeski, między którymi najnowszy wywołał urzędowe zaprzeczenia Porty. Rzecz była taka.

Przed paru tygodniami rozeszła się pogłoska po kawiarniach stambulskich na Perze, że do Porty przyszła z Berlina wiadomość, jakoby między Austrją a Niemcami powstały kwasy z powodu Bułgarji; dalej, jakoby Bismark oświadczył, że w sprawie wschodniej uważa Austrję za zupełnie zizolowaną; i w końcu, że w skutek tego potrójne przymierze niebawem pryśnie. Kto tę pogłoskę puścił i po co? — łatwo się było domyśleć: wszakże wówczas właśnie p. Nelidów starał się skłonić Portę do protestu przeciw pożyczce bułgarskiej. Turcja chowa się za plecy trójprzymierza, więc trzeba było poruszyć wszystkie koterje stambulskie niepokojącą wiadomością, że oto zasłona ta zniknie niebawem. I rzeczywiście, poruszono koterje tak silnie, że aż się zachwiało stanowisko wielkiego wezyra Kiamila-baszy, którego oskarżono przed sułtanem, że prowadzi bułgarską politykę z wielką szkodą dla Turcji i lada dzień ściągnie na nią nieszczęście. Kiamilowi udało się zdemaskować intrygę i otrzymać od sułtana wotum zaufania. Lecz na tem rzecz się nie skończyła. Umyślono przekonać sułtana, że wielki wezyr i inni ministrowi, czyli cała Porta okłamuje go, nie donosi mu o relacjach z Europy. W tym celu posłano do *Timesu*, czytanego w Yłdiz-Kiosku, długą depeszę tej treści:

„Turecki ambasador w Berlinie przysłał w. wezyrowi długi raport o tem, że w najwyższych sferach niemieckiej stolicy cierpko odzywają się o akcji austrjackiej w Bułgarji, która to akcja wprost prowadzi do kryzysu z Rosją, a na ten wypadek Austrja liczy na interwencję lub pośrednictwo Niemiec, które będą tajnie wspierały dążenia wiedeńskie do uznania przez Europę rządu bułgarskiego. Ten plan austrjacki jest bardzo niechętnie widziany przez ks. Bismarka, który uważa, że hr. Kalnoky postępuje za odważnie i egoistycznie.“

Tym sposobem wznowiono, odświeżono i zgrabniej ubrano kłamstwo, ale już ono nie mogło poskutkować tam, gdzie na to liczono. W całej tej kampanji przeciwko Austrji, odbywającej się na stambulskiej arenie, zbyt była widoczna tendencja okłamania o stosunkach w trójprzymierzu, okłamania nie Europy, ale Turcji. Sułtan mógł bardzo łatwo dowiedzieć się od p. Radowitza jak myślą w Berlinie, gdyby podejrzywał Portę o skrywanie przed nim ambasadorskich raportów. Zaś dla uspokojenia opinji publicznej pojawiło się w *Levant Heraldzie* kategoryczne zaprzeczenie doniesieniu *Timesa*, a wnet potem *Agence Constantinople* rozniosła to zaprzeczenie po całej Europie.

Sądzimy, że ta zdemaskowana intryga w siedmiomilowych butach, sprawiła równie przykre wrażenie w Berlinie, jak w Stambule. Bo jeśli sułtana chciano okłamać, to w tym celu rzucono podejrzenie na szczerość i lojalność polityków niemieckich.

Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu niemieckiego załatwiono ustawę antisocjalistyczną wcale nie po myśli rządu. Bismark nie przybył, bo zapewne wiedział, że nie obroni straconej pozycji, na której do ostatka wytrwał minister spraw wewnętrznych Herrfurth. Mowa jego była bardzo zręczna, bo wykazał, że w socjalizmie leży zarodek rewolucji krwawej, która ogarnie i zburzy cały porządek nietylko polityczny, ale i społeczny. Wodzowie socjalizmu wypierają się dążności anarchicznych, utrzymują, że nie chcą rewolucji gwałtownej i wierzyć im można, lecz czyż oni zdołają utrzymać wzburzone morze ludowych instynktów? Wolter i J. J. Rousseau z pewnością nie chcieli wielkiej rewolucji francuskiej, a jednak czyż nie oni byli jej ojcami?... Za tę mowę dano ministrowi brawo prawie ze wszystkich ław poselskich, lecz na projekt rządowy nie zgodzono się, a to nie dla tego, żeby nie chciano walczyć z socjalizmem, lecz że każde stronnictwo miało albo inne lekarstwo, albo chciało zapłaty od rządu za głosowanie.

Liberałowie i konserwatyści (junkrowie) przemawiali tak, że widoczne było, iż czekają jakiejś koncesji. Gdyby Herrfurth mrugnął na nich, gdyby wyszli na korytarz, gdyby tam jakiegoś targu dobili, głosowaliby inaczej. Ale Herrfurth widocznie nie miał od Bismarka polecenia wchodzić w targi.

Centrum oświadczyło, że jedynym lekiem na socjalizm jest nieograniczona swoboda Kościoła. Ustawy wyjątkowe, gnębiące z jednej strony Kościół, z drugiej — socjalizm, wyjdą tylko na korzyść bezprawia, a więc wszelkich dążności burzycielskich. Rząd powinien nareszcie przekonać się, że najlepiej — żadnych wyjątkowych ustaw! Jeśli się jeszcze nie przekonał, to trzeba mu czas zostawić. Więc centrum będzie głosowało za prolongatą ustawy wyjątkowej na dwa lata bez paragrafu o wydaleniach. Zresztą kadencja parlamentarna za kilka dni się kończy, więc lepiej tę kwestję przekazać nowemu parlamentowi.

Wolno-konserwatyści byli za ustawą, lecz za wyrzuceniem paragrafu o wydalaniach. Widocznie podziałało na nich to, że wybory odbędą się za miesiąc, skoro zmienili swe przekonanie, boć w komisji gardłowali za ustawą podług brzmienia projektu rządowego.

Postępowcy i socjaliści oczywiście byli przeciwni ustawie.

W końcu uchwalono: ustawa wchodzi w życie na czas nieograniczony, ale paragraf o wydaleniach zostaje odrzucony. To rezultat drugiego czytania. Trzecie jutro.

Z Nowego Yorku donoszą, że senatowi przedstawiono i równocześnie opublikowano traktat zawarty pomiędzy Anglją, Niemcami i Stanami Zjednoczonemi w sprawie wysp samoańskich.

Treść traktatu jest następująca:

Archipelag samoański pozostanie krajem neutralnym; poddani państw kontrahujących mają na wyspach samoańskich używać równych praw. Wszystkie państwa uznają niezależność wysp samoańskich, a żadne z nich nie jest uprawnione do jakiejkolwiek osobnej kontroli nad Samoa. Królem uznany został Malietoa. Trzy państwa kontrahujące wybrać mają najwyższy trybunał dla spraw samoańskich: na wypadek, iż pomiędzy odnośnemi państwami nie przyjdzie do zgody co do osoby najwyższego sędziego, ma go wyznaczyć król szwedzki.

Dalej określa ugoda dzielnice należące do poszczególnych mocarstw, ogranicza prawo krajowców co do sprzedaży majętności ziemskich, normuje sprawę reklamacji w sprawach odnoszących się do posiadania ziemi, określa granice miejskiego okręgu Apia i podaje bliższe przepisy co do jego zarządu. Na czele rady komunalnej w Apji stać ma prezydent, mianowany przez trzy państwa kontrahujące albo, w razie, gdyby one co do osoby zgodzić się mogły, przez króla szwedzkiego, holenderskiego i cesarza brazylijskiego, albo Szwajcarją.

Zresztą zawiera traktat cały szereg przepisów szczegółowych co do pobierania ceł i podatków, jakoteż sprzedaży broni palnej i napojów gorących.

Rząd Stanów Zjednoczonych uprzedził tak Anglję jak Niemcy w ogłoszeniu traktatu. Powszechnie spodziewano się, iż pierwszy z ogłoszeniem traktatu wystąpi rząd niemiecki, ponieważ, jak wiadomo, konferencja w sprawie samoańskiej obradowała w Berlinie. Jeżeli się stało inaczej, to prawdopodobnie dla tego, iż w sprawie samoańskiej Ameryka odniosła zwycięstwo nad Niemcami.

Korespondencje.

Wiedeń 22 stycznia.

(?) Namiestnik hr. Badeni załatwia tutaj sprawy, odnoszące się do nieurodzaju, propinacji, ustaw sejmowych i t. p., a przytem ma sposobność przekonać się, że akcja dalszego rozwinięcia programu pojednania nie tylko nie zmienia usposobienia rządu względem naszego kraju, ale przeciwnie, im lepsze są widoki powszechnego pojednania, tem śmielej i życzliwiej może rząd zajmować się sprawami każdego kraju koronnego.

Pod względem doniosłości akcji ugodowej można jednak jeszcze słyszeć uwagi pesymistyczne. Mianowicie śledziennicy polityczni przypominają otwarcie, że sam hr. Taaffe jest pesymistą, skoro jako jedyną metodę postępowania dla rządu wskazał był *das Durchfretten*, urywanie dnia za dniem. Wyprowadzają ztąd, że hr. Taaffe wcale nie zatrudnia się z wielkiemi planami, że zadowalnia się małemi sukcesami, że jaki taki pokój w Czechach, niezupełny i do czasu tylko, to był jedyny cel konferencyj. Taki pokój, albo raczej zawieszenie broni zostanie powoli, kapaniną przeprowadzane, nikogo właściwie nie zadowolni, więc też sytuacja wewnętrzna nie poprawi się, a jałowe utarczki w Radzie państwa dalej trwać będą.

Należy i te zgryźliwe uwagi zanotować; lecz o ile one są bezpodstawne, to łatwo każdy nieco myślący obywatel sam sobie udowodni. Wszak owo urywanie z dnia na dzień trwa już jedenasty rok! Ugoda dzisiejsza była, jak to już wiemy, dawno przygotowywana. Ugoda w Czechach nie może regulować wprost stosunków innych krajów, nie może też być doraźnie dokonaną, lecz na właściwych drogach musi być zwolna przeprowadzoną. Rząd zdołał dla niej pozyskać obie strony sporne, a wyrazy uznania i podziękowania z obu stron, któremi hr. Taaffego przy zamknięciu konferencyj uczczono, to są wszystko dowody, że dzieło jest doniosłe, że podjęli je ludzie uposażeni niezwykłemi zdolnościami, prawdziwi mężowie stanu. Że dzieło takie już przez ducha, który je ożywia, musi oddziałać na stosunki w całem państwie, to rzecz jasna, zarówno nieunikniona, jak i pożądana.

Za dwa tygodnie zbiera się Rada państwa. Oczywista, że od razu nie zmieni ona swojej postaci; ani też nie można bawić się w przepowiednie, jaką postać z czasem przybierze i jak wypadną nowe wybory w r. 1891. Na razie ten będzie skutek, że inny ton zapanuje w debatach i praca będzie szła raźniej. Zapewne skrajni, a więc deutschnationale, Młodoczesi i bałamutni zwolennicy Lienbachera i Zallingera, nie zmienią ani tonu, ani metody. Z tej zaś okoliczności można **wnioskować**, że już tego roku przygotowywać się będzie inne ugrupowanie w Izbie, którego wyrazem stanie się inna większość **dla tego samego systemu**, dla tego samego rządu — chociażby co do osób od czasu do czasu miały zachodzić zmiany. Naturalnym jest wniosek, że jeżeli umiarkowana lewica zostanie zadowolnioną, jeżeli akcja pojednawcza zwróci się do innych krajów — to na większość złożą się: konserwatywni i umiarkowanie liberalni Niemcy, Polacy, Staroczesi i Morawianie, jakoteż Słoweńcy. Opozycyę zaś tworzyć będą: skrajni deutschnationale i antisemici, Młodoczesi i skrajni reakcjoniści. Są to wnioski, które z natury rzeczy wynikają, a warunki które tym przemianom towarzyszyć muszą, jakoteż następstwa tych przemian, będą również zjawiskami naturalnemi, bo wypływającemi z konsekwencji rzeczy.

Deutsche Zeitung przynosi w tej mierze zajmujące uwagi. Do przyjaciół ugody, a więc do tych, którzy będą **współdziałali** w jej urzeczywistnieniu, zalicza ten organ: obywatelstwo wiedeńskie, Polaków i Słoweńców, wreszcie Czechów i Niemców. Jako jawnych nieprzyjaciół wylicza antisemitów, deutschnationałów i niemieckich, reakcyjnych klerykałów. Równocześnie *Vaterland* w imieniu całej katolickiej **ludności**, nie partji, wita ugodę z radością i podnosi nowe korzyści które z niej wynikną. Takie spotkanie się tych dwóch pism jest charakterystyczne.

Uwagi *Vaterlandu* zasługują na obszerniejszą wzmiankę. Zastanowię się więc nad niemi w następnym liście, oraz nad innemi jeszcze rysami nowego okresu ugodowego, których zaledwo dotąd dotknąłem, a które należy jasno postawić, żeby nieporozumienie usunąć.

Z Izby sądowej.

Skrytobójcze morderstwo.

Przed półtora rokiem, dnia 14 września 1888, znaleziono w Brodach, niedaleko dworca, w szopie budnika kolejowego Fijałkowskiego — trupa zamordowanej kobiety. Kto była ta kobieta, nikt wiedzieć nie mógł. Przy zamordowanej nie znaleziono nic, co by mogło dać choć jakiś słaby punkt wyjścia dla dalszych badań — stary kapelusz męski, który leżał obok trupa to było całe *corpus delicti*. Wezwano służbę kolejową i kilkunastu mieszkańców brodzkich do rozpoznania trupa, lecz nikt nie mógł go rozpoznać. Portjer kolejowy zeznał tylko, że na dzień przed odkryciem morderstwa tj. 13 września 1888 przybyło pociągiem ze Lwowa dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta. Zostawili oni swoje rzeczy w poczekalni, mówiąc, iż jadą za zarobkiem do Rosji i w Brodach tylko formalności paszportowe załatwić mają. Towarzysz kobiety mówił, że jest stolarzem. Tego samego dnia około godziny 10 wieczorem na kilka minut przed odejściem pociągu do Lwowa zjawił się na dworcu ów mężczyzna sam bez swej towarzyszki. Wziął on część zostawionych rzeczy, mówiąc, że musi natychmiast do Lwowa odjechać — a po resztę rzeczy żona jego przyjdzie, — wsiadł do pociągu i odjechał. Po resztę rzeczy nikt nie przyszedł, gdyż kobietę, która miała przyjść po nie, znaleziono nazajutrz zamordowaną.

Po długich badaniach zdołano wreszcie sprawdzić, że zamordowaną kobietą była Tekla Trojanowska, żona stolarza z Czyszek pod Lwowem. Trojanowska miała realność w Czyszkach i wyszła przed laty czterema po raz wtóry za mąż za młodszego od siebie o lat ośm Jana Trojanowskiego. Pożycie ich małżeńskie nie było wzorowe. Tekla narzekała wciąż przed znajomymi, że mąż jej mało zarabia, że pierwszy mąż jej daleko więcej zarabiał i odgrażała się, że sprzeda wszystko, co ma, poszuka sobie innego chłopca i pójdzie z nim w świat.

Chłopca tego wyszukała też sobie niebawem w szwagrze swego męża Antonim **Szkodzińskim-Bereżańskim**, czeladniku stolarskim, pracującym do roku 1888 w fabryce braci Wczelaków we Lwowie. Szkodziński jest także żonatym i ma dzieci. Oboje postanowili porzucić swe rodziny i puścić się w świat. Aby nie wzbudzić podejrzenia, iż oboje razem uciekają, rozpuścił Szkodziński wieść, że Wczelak wysyła go z 20 czeladnikami do Krakowa na robotę i przestał bywać w Czyszkach.

Trojanowska sprzedała swą realność, całe urządzenie domowe, nawet narzędzia swego męża, i z uzyskaną z tej sprzedaży gotówką, wynoszącą przeszło 1500 zł. zniknęła z Czyszek w lutym r. 1888, zabrawszy z sobą sześcioletnią wychowankę Broncię. We Lwowie zeszła się z Szkodzińskim i oboje wyjechali do Krakowa, gdzie przez kilka miesięcy mieszkali. Z Krakowa wyjechali do Gródka, mieszkali tam przez 3 tygodnie a potem wyjechali i stamtąd we wrześniu 1888, i bawili przez jeden dzień we Lwowie, kryjąc się przed znajomymi. Potem ślad Trojanowskiej zaginął aż do chwili, w której jej trupa w Brodach znaleziono. Szkodziński wyjeżdżając ze Lwowa nie miał pieniędzy, gdyż został Wczelakom dłużnym pobraną przez się zaliczkę w kwocie 5 zł., w Krakowie i Gródku zarabiał bardzo mało, a jednak mimo to kupił sobie we wrześniu, już po dokonaniu morderstwa na Trojanowskiej zegarek ze złotym łańcuszkiem za 150 zł. i posłał żonie swej 200 zł. i różne ubrania dla niej i dla dziecka.

Biorąc to na uwagę, tudzież występny stosunek w jakim Szkodziński zostawał do zamordowanej Trojanowskiej, jest Prokuratorja państwa zdania, że nikt inny tylko on morderstwo to mógł popełnić i oskarża go o zbrodnię skrytobójczego morderstwa tudzież o zbrodnię uwiedzenia.

Oskarżony wypiera się popełnienia tej zbrodni i utrzymuje, że pieniądze miał stąd, gdyż wygrał w Krakowie na loterję przeszło 300 zł., a u Wczelaków zaoszczędził sobie 175 zł. Tłumaczenia tego nie może jednak niczem poprzeć, gdyż nie podaje, ani w której kolekturze, ani na jakie numera wygranę loteryjną zrobił — a opowiadanie o zaoszczędzonych u Wczelaków 175 zł. nie zasługuje na wiarę w obec tego, że odchodząc od nich pozostał im dłużnym 5 zł. Dalej twierdzi Szkodziński, że nigdy w Brodach nie był, i chcąc wykazać swe alibi utrzymuje, że w dniu popełnienia zbrodni t. j. 13 września 1888 spał w „jakimś“ zajeździe w Przemyślu. Zajazdu tego bliżej określić nie może. Wreszcie nie przyznaje się wcale do własności kapelusza, który przy trupie zamordowanej znaleziono.

Świadkowie, jak Jan Zabłotny z Gródka i żona jego Aleksandra Zabłotna zeznają, że oskarżony mieszkał w Gródku pod przybranem nazwiskiem Gliński. Mieszkał tam z kobietą jakąś, która mówiła, że ma przeszło 1.200 zł. i chciałaby nabyć w Gródku realność. Świadkowie ci zeznają dosyć stanowczo, że kapelusz znaleziony przy trupie Trojanowskiej, nosił w Gródku oskarżony Szkodziński. Karolina Matuszkiewicz, żona kościelnego z Gródka, zeznaje, że przysiądz by nie mogła na to, czy to ten sam kapelusz, który Szkodziński w Gródku nosił, ale w każdym razie podobny.

Wojciech **Schneider** stolarz w Gródku, zatrudniał przez 14 dni oskarżonego w swoim warsztacie. Zeznaje on, że Szkodziński nie odznaczał się zbyt wielką pilnością, a kobieta, która z nim mieszkała, nazywała go często nierobą. Szkodnicki raz skarżył się w warsztacie na swą babę i mówił: „wywiozę ją do Rosji, może ją tam prędzej djabli wezmą“. Ten świadek poznaje stanowczo w znalezionym przy trupie kapeluszu, kapelusz, który Szkodnicki w Gródku nosił.

Kilku świadków z Przemyśla zeznaje, że Szkodziński będąc w Przemyślu, pracował nieregularnie, a robił wielkie wydatki i chwalił się, że wygrał terno na loterję. W półtora miesiąca po dokonaniu morderstwa na Trojanowskiej zamieszkał Szkodziński w Czyszkach i opowiadał, że tylko przypadkiem widział się raz z Trojanowską w Krakowie, lecz nie mieszkał z nią razem. Zauważyć trzeba, że wówczas nie wiedziano jeszcze, kim była zamordowana w Brodach kobieta — dowiedziano się o tem dopiero w kilka

---

2)

DZIDZIA.

Przez

ZOFJĘ KOWERSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

W rzeczywistości byłem w obec kobiet szykownych i salonowych nieśmiałym aż do głupoty. Bałem się ich, nie znałem ich świata... miałem tylko ku nim jakieś tęsknoty... nadzieje na przyszłość... Tylko w obec dziewcząt wiejskich i służących czułem się w swoim żywiole. Gdym się znajdował na wsi jako korepetytor lub w domu ojca, który był niezamożnym dzierżawcą, Marysie, Jewki, Franki, Jantosie bywały przedmiotem moich zabiegów. To był świat kobiecy, który znałem. O innym marzyłem tylko... z dreszczem trwogi i oczekiwania myślałam o chwili, w której się do niego zbliżę. Nie wątpiłem, że chwila ta nastąpi, i prawdę mówiąc, była ona najjaśniejszym punktem mojego horyzontu.

Z *Kurjera Warszawskiego* przeniosłem ogłoszenie do *Kurjera Codziennego*, zmieniwszy trochę styl i zwroty i nie wspomniawszy już nic o objadach. Było mi wstyd wyciągać rękę na ostatniej stronicy tego samego wciąż dziennika. Zdawało mi się, że przechodnie pokazywali mię sobie palcami: „Patrz, oto ten student, co się wciąż ogłasza w *Kurjerze Warszawskim*. Tylko com raz jednemu nie krzyknął, żem się przeniósł do *Codziennego*.

Głód już naprawdę doskwierał. Pożyczone mi przez Michasia trzy ruble zjadłem, co do ostatniego grosza; stróża o bułki już prosić nie śmiałem... no, rozpacz! Poszedłem na miasto z gęstą miną, zamaszyście mijałem przechodniów, ale spacer jeszcze bardziej mię wytrawiał... jakieś rewolucyjne, maratowskie przychodziły mi zachcianki... Stanowczo orzekłem, że „własność jest kradzieżą“. Wróciłem do mieszkania (gospodarz już groził wyrzuceniem mię z niego) i próbowałem sobie wmówić, że jedzenie jest tylko złem przyzwyczajeniem. Potem zagłuszałem głód, śpiewając tak głośno, że aż się wśród dość pustych ścian rozlegało; nie mogłem mojej wyobraźni oczyścić z widziadeł takich, jak dymiące, świeżo z kuchni przyniesione bifsztyki, sążniste, w plastry pokrajane pieczenie... Ha, są szczęśliwi ludzie na świecie! Cobym też zadysponował sobie na objad, gdybym był panem i miał własnego kucharza? Począłem dysponować, ale zawstydziłem się tej dziecinnej zabawki. Cóż to? trochę głodu znieśćbym nie miał odważnie? I znowu mi wracała moja mania dysponowania. Właśniem był orzekł, że na ostatnią potrawę miałem mieć pierogi z trześniami ze śmietaną, gdy się rozległo pukanie. Rzuciłem się do drzwi. Stał w nich lokaj w liberji z biletem w ręku. Na bilecie wyczytałem: „Helena z hrabiów Czarnozorów Pawężyna“, potem ślicznem kobiecem pismem: „prosi o przybycie dla rozmówienia się o korepetycje“. Krew uderzyła mi do głowy. Korepetycje! Marzenie mogło się stać żywem ciałem.

Wiedziałem, że pierwsze piętro domu, w którym mieszkałem pod strychem — (studenci — to ptaki, gnieżdżące się wysoko), zajmowała rodzina Pawężów. Widywałem wjeżdżającą w bramę karetę... jakieś suknie i twarze, migające po za jej szybami...

— Tu na pierwsze piętro? zapytałem lokaja.

— Tak, jaśnie pani pyta, kiedy pan będzie mógł przyjść.

— Zaraz... w tej chwili... za pięć minut...

Gdy lokaj znikł, poszedłem poradzić się ołamanego lusterka, czy mogłem stanąć, tak jak byłem, przed panią Pawężyną. Zmieniłem kołnierzyk, przyczesałem włosy, po barjerze schodów zjechałem na dół i z obejmującą mię po trochu nieśmiałością zadzwoniłem. Przyciśnięta z góry sprężyna spowodowała otworzenie się drzwi; wszedłem na schody, wysłane dywanem, ozdobione roślinami w skrzynkach... O, źle!..: Coraz więcej czułem się nieśmiały i wydałem się sobie jakiś brudny i obdarty... Ale trudna rada! Kto się ogłasza w *Kurjerku*...

Na ostatnim schodzie u góry stał ten sam lokaj, który mi przyniósł bilet pani.

— Jaśnie pani jest w salonie.

Wprowadził mię do przedpokoju i wskazywał drzwi na lewo.

Sam nie wiedziałem, jak wszedłem i jakem się znalazł przed siedzącą w salonie panią. Podniosła się ona zwolna i krok jeden uczyniła na moje spotkanie. Była wysoka, piękna, ślicznie ubrana i wydała mi się zupełnie młoda.

— Czy to pan... w *Kurjerku?*...

— Tak, pani.

Czułem, że jestem okropnie niezgrabny. Pani była podobna do tych kobiet anielskich, które ratowałem z rewolwerem w ręku i z któremi bywałem tak śmiały i tak rycerski; w obec niej jednak czułem się jak złapany... Własne moje ręce wydawały mi się jakiemiś cudzemi, przyprawnemi rękami, a i z nogami nie wiedziałem co robić. Pani była tak swobodna i spokojna, że aż mię zazdrość brała.

— Siadaj pan — rzekła, wskazując mi krzesło.

— Ja właśnie poszukuję...

— Tak, i zdaje mi się, że będziemy mogli się porozumieć. Pan znasz dobrze język niemiecki.

— Tak...

Siedziałem na samym brzeżku krzesła: najlżejsze popchnięcie byłoby mię przyprawiło o upadek, a słowa więzły mi formalnie w gardle. Czyż byłem odważnym tylko z rewolwerem w ręku?

— Chociaż mieszkaliśmy dotąd w Galicji... moja córka nie umie ani słowa w tym języku... Czy mógłbyś pan podjąć się dawania jej godziny lekcji dziennie? Co do wynagrodzenia, zastosujemy się do zwyczajów...

Głód tak mię w tej chwili szarpał za wnętrzności, żem prawie mimowoli wyrzekł:

— Obiad...

— A, nie — pochwyciła pani — pan rozumiesz.. obcy człowiek przy stole rodziny...

— Tak, tak, rozumiem... zdaję się zupełnie na państwa...

— Chciałabym właśnie, byśmy tę kwestję ułożyli od razu. Pan musisz wiedzieć, co się tu płaci zwykle za godzinę lekcji dziennie.

Wymieniłem cyfrę, i umowa stanęła bez zwłoki.

— Czy będziesz pan mógł zacząć lekcje od jutra? Tak? To dobrze! Zapoznam pana z moją córką... ma lat piętnaście... w tym wieku czyni się najszybsze postępy...

Wstała i, zbliżywszy się do drzwi przyległego pokoju, zawołała:

— Dzidziu!

Weszła szczupła i wątła panienka z dwoma warkoczami blond, wiszącemi na plecach. Miałe niebieskie oczy, zdaje mi się, że miała też niebieską suknię, bo było w niej coś wyraźnie niebieskiego.

— Dzidziu, przedstawiam ci twego przyszłego nauczyciela.

Panienka uśmiechnęła się, ukłoniła... ja jeszczem się stał więcej nieśmiałym. Ani na jedno słowo zdobyć się nie mogłem.

— Więc jutro... od piątej do szóstej... to najlepsza godzina... Wszak panu ta godzina dogadza?

Ukłoniłem się.

— Książki... Ach, to się jutro ułoży, jakie książki potrzebne będą...

— Ja tymczasem przyniosę...

— Dobrze, przynieś pan, co pan będziesz uważał za potrzebne...

Nogi mi się plątały, ale wyszedłem. Za mną zabrzmiał srebrny śmiech. Czy to się Dzidzia śmiała, czy jej matka? Może śmiały się ze mnie?

Miłość własna poruszyła się w mem sercu, ale wkrótce wszystkie inne uczucia ustąpiły miejsca radości. Mój Boże, miałem lekcje!... i to lekcje, dobrze płatne, w tym samym domu...

Niepotrzeba będzie drzeć butów, mianowicie przy moim sposobie przebywania schodów, ześlizgując się na poręczy. Trapiła mię tylko myśl, że trzeba będzie zawsze odrobinę staranności w stroju, idąc tam na te dywany...

Pobiegłem pochwalić się przed Michasiem.

— Głodny jestem, jak pies, ale mam lekcje! — zawołałem. — Niech żyją panny, potrzebujące lekcji języka niemieckiego! Będę teraz bogaty, jak Krezus!... Nad studentami jest opatrzność!... Mówię ci, że ma takie grube warkocze...

— Kto?

— No, ta koza, którą uczyć będę!

(C. d. n.)

miesięcy później. — Wówczas to mieszkając w Czyszkach, udawał Szkodziński bardzo pobożnego, chodził często do kościoła i do spowiedzi.

W sprawie tej, która potrwa dni kilka, przesłuchano już kilkunastu świadków, a dalszy jej ciąg i wynik podamy czytelnikom.

Mały Fejleton.

W imię urody!..

Smutnie to świadczy o naszym rozwoju estetycznym, skoro myśliciele, jak dajmy na to Herbert Spencer, przypominać nam muszą, że mamy takie same prawo i obowiązek pielęgnowania naszej urody, jak mają ten przywilej — konie!

Cofamy się najwidoczniej...

Gdy bowiem świat klasyczny nie gardził żadnemi środkami, byleby podnieść urok piękności, a śliczne córy Grecji poświęcały na to codzień całe godziny, gdy wieki średnie nawet mimo swój ascetyzm lubowały się w... kąpielach kosmetycznych, gdy nawet półbarbarzyński Wschód dba o ciało ludzkie, chucha i dmucha na nie—my z pogardą i wyniosłością spoglądamy na owę sztukę i naukę, które dążą do zachowania i możliwego utrwalenia fizycznej urody.

To — bezwarunkowo krok wstecz. Kosmetyka zasługuje na wysokie uznanie i jedyne, co możemy i powinniśmy zmienić w niej, to osłabić udział kuchni chemicznej, a spotęgować czynniki naturalne.

Coraz częściej słyszeć się dają nawołujące do tego głosy.

Czyście np. pomyśleli, jakim pysznym, niezawodnym, a naturalnym kosmetykiem jest staranna... kąpiel?

Lat 500 temu nadworni lekarze byli prawie że głównie nadwornymi „bademajstrami.“ Wanna odgrywała w życiu człowieka rolę ogromną, a i dziś jeszcze kraje, jak Turcja i Persja, pod względem sztuki urządzania kąpieli przewyższają o całe niebo Europę i w tej mierze są dla nas zawsze niedościgłemi wzorami.

Ich instynkt jest daleko rozumniejszy, niż nasze filozoficzne lekceważenie piękności cielesnej. Pojmują oni, że otworzyć wszystkie pory skóry, dodać jej świeżości, elastyczności, jest to podnieść sprawność całego organizmu, poczucie wewnętrznego zadowolnienia — jest to zresztą jeden z pierwszych obowiązków człowieka.

Tak, czytelniku arcypoważny, nie cofam słowa. Absolutnie czysta, jak aksamit miękka skóra, to jedno z pierwszych wymagań piękności ludzkiej.

A przytem, jak łatwo uczynić mu zadość! Woda, błogosławiona woda w różnych swych postaciach, rozpylona w deszcz prysznicowy, wchłonięta przez płótno, ujęta w strugę twardą i mocną, jak bicz — destyluje skórę tak „dokumentnie“, że człowiek, gdyby mógł, samego siebie pocałowałby z rozkoszą w same usta...

Drugim środkiem kosmetyki racjonalnej jest masaż. Do niedawna jeszcze opowiadano sobie z uśmiechem szyderczym o królowej Pomarze, która dzień w dzień kazała sobie gnieść w najrozmaitszy sposób ciało, a dziś? Dziś — tylu ludzi uczuwa potrzebę masowania się a tylu ofiaruje swe w tym względzie usługi, że... że gotóweś mnie, czytelniku, posądzić o chęć zrobienia komuś reklamy.

Ale o tem pewnie wiesz, że w ostatnich czasach fortepianiści, tancerki i t. p. poddają się masażowi dla zwiększenia sprężystości swych ciał?

A dalej idzie bardziej już wyrafinowany repertuar środków, konserwujących urodę.

Z dawien dawna ogromną wziętością cieszą się wszelkie preparaty z migdałów. Piękny ten krzew południa stworzyli snać bogowie dla siostrzyc Wenery, ażeby migdałowemi olejkami, emulsjami i otrąbkami nacierając sobie ciało, miały jednę broń więcej w podbojowej walce z rodzajem męskim.

Wysoką rangę ma też gliceryna, która nigdy nie wysycha i czyni płeć dziwnie elastyczną; a potem znów szpik wołowy, masło kakaowe i dyskretnie pachnący olejek piżmowy; oto są tłuszcze mające zawsze prawo obywatelstwa na zasobniejszych toaletach.

Ale i spirytualjom oddajmy, co się im należy. Taka np. wódka francuska oddaje nieocenione usługi ludziom dbałym o swą powłokę ziemską. Podobnież materje żywiczne i balsamy są wielkimi przyjaciołmi naszej skóry.

Wszystkie te środki zasadnicze przemysł dołącza do kosmetyków, bez których stanowczo żaden człowiek żyć nie może, do mydeł. A z dniem każdym rośnie liczba ich gatunków i specjalnych przeznaczeń. Dobrze zaopatrzona umywalnia w takiej np. Francji i Anglji pstrzy się zawsze jakim półtuzinem mydeł i kremów.

Dotąd mówiliśmy o materjach względnie łagodnych i naturalnych. Ale wnet ustępują one miejsca orężowi ostrzejszemu, gdy chodzi o zwalczenie wrogów urody, tj. łupieża, pryszczyków, plamek na ciele, piegów, tych okrutnych wyrobów letniego słońca. Wówczas uzbrajamy się w sole i kwasy. Ci, co owe niepożądane dary przyrody zbytnio biorą do serca, nie gardzą preparatami ołowiu, jodu, ani kwasem octowym, a nawet rtęcią.

To już zbytek energji i radykalizmu. Bo po pierwsze taka rozpaczliwa walka może narazić na zawód i na oszpecenie twarzy, a powtóre: czy jaka niewinna plamka, znaczący „butonik“ lub znamionko, naprawdę tak szpecą? Znam takich, co twierdzą, że atłasowa twarzyczka wdzięki zyskuje przez to na pikantności. Niedarmo pewne plamki nazwano „pieprzykami“, niedarmo eleganckie damy minionego stulecia wprost uganiały za niemi.

Inna już rzecz, gdy w pewnych nieprzeznaczonych do tego miejscach twarzy pojawi się podejrzany meszek — jakby kandydaci na wąsiki, bródkę lub fawority! Tu *periculum in mora*. Ale niestety, choć wyrzucano już tysiące na zażegnanie tych nieproszonych gości, nic dotąd nie pomaga. Na wschodzie pieszczotki haremów używają w tym celu tak zwanego „rusmo“, tj. mięszaniny niegaszonego wapna i auripigmentu (złotołusku). Ale i ta mieszanina okazuje się skuteczną.

O smirkach, pudrze, tynkturach barwnikowych nie wspominam. Dobry smak i zdrowy rozsądek zawsze na ich widok ironicznie uśmiechać się będą. — Natomiast wyróżnić z pośród kosmetyków laboratoryjnych wypada perfumy. Matka natura je nam daje, przysyłając ze wschodu, z klasycznej ziemi olejku różanego i jaśminów, a dziś po największej części ze wspaniałych ogrodów południowej Francji, kędy miljony wonnych krzewów i aromatycznych ziół idą do retort, ażeby później oddać co się należy zmysłowi naszemu — najbardziej może ignorowanemu — powonieniu.

Kronika.

Lwów 24 stycznia.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gminie Krasne, w powiecie rzeszowskim, na budowę szkoły zapomogę w kwocie 100 zł.

Najj. Pan zatwierdził wybór p. Bronisława Osuchowskiego na prezesa Rady powiatowej w Turce, a wybór ks. Cyryla Paczowskiego na wiceprezesa Rady powiatowej w Bohorodczanach.

Zapomoga. Pan Namiestnik hr. Badeni udzielił z funduszu zapomogowego dla wdów i sierot po urzędnikach i sługach c. k. władz politycznych, pani Felicji Świerczyńskiej, wdowie po oficjale c. k. Namiestnictwa, obarczonej siedmiorgiem nieopatrzonych dzieci, jednorazowej zapomogi w kwocie 40 zł.

Mianowania. Rada szkolna krajowa zamianowała Józefa Witoszyńskiego stałym nauczycielem szkoły etatowej w Porzecie, Jana Wawryka stałym nauczycielem szkoły etatowej w Przybówce, a Marję Rejowską stałą nauczycielką młodszą, zawiadującą szkołą filjalną w Przysietnicy.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Stryju z grupy większych posiadłości ziemskich rozpisano na dzień 13 lutego b. r.

Z uniwersytetu. P. Adolf Beck, rodem z Krakowa, otrzymał na tutejszym uniwersytecie stopień doktora wszech nauk lekarskich.

P. Oktaw Pietruski, członek Wydziału krajowego i zastępca marszałka, wybrany został na posiedzeniu Rady powiatowej w Stryju prezesem Rady nadzorczej kolei lwowsko-czerniowieckiej.

Do komisji dyscyplinarnej c. k. Dyrekcji ruchu kolei państwowych we Lwowie powołani zostali na rok bieżący pp. Słoniński Władysław, zastępca dyrektora jako prezes, zaś Listowski Karol, Walewski Leon, Minowski Ludwik i Gaberle Gustaw jako komisarze. Jako zastępcy funkcjonować będą pp. Przybysławski Józef, Kasprzycki Piotr i Grotkowski Edward.

Dla c. k. krakowskiej Dyrekcji jest skład komisji dyscyplinarnej następujący: p. Seferowicz Jan, zastępca dyrektora, prezes; pp. Czerny Kazimierz, Aberdam Franciszek, Makarewicz Spirydjon i Grottger Jarosław komisarze, których zastępcami są pp. Szuszkiewicz Karol, Bartelmus Ludwik i Karaś Aleksander.

Filomaci, nowozawiązane Towarzystwo chrześcijańskiej młodzieży akademickiej we Lwowie, z różnowyznaniowych Polaków i Rusinów, odbyło dnia 19 bm. swoje pierwsze walne zgromadzenie, na którem wybrano następujący wydział: przewodniczący Felicjan Stroka, zastępca przewodniczącego Franciszek Jabłoński, bibljotekarz Wojciech Bielecki, sekretarz Wilhelm Rolny, skarbnik Aleksander Dziama; członkowie wydziału: Stanisław Fibich, Kamil Seyfried, Marjan Szwed, Władysław Terlecki, Witold Wasylewicz.

Adres Towarzystwa. Lwów, Cytadelna l. 5.

Rada miejska odbyła dnia wczorajszego swoje zwykłe, cotygodniowe posiedzenie. Przed przejściem do porządku dziennego przewodniczący, p. Prezydent miasta, uwiadomił Radę, że zaraz po odebraniu wiadomości o śmierci śp. Władysława Taczanowskiego, wysłał w imieniu Rady telegram gratulacyjny do rodziny zmarłego w Warszawie. Następnie zawiadomił przewodniczący Radę, o śmierci radnego ś. p. Jana Rischera i zaprosił kolegów zmarłego na pogrzeb, który odbędzie się dziś po południu. Wreszcie uchwaliła Rada urlop roczny dla radnego p. Bałłabana i przeszła do spraw porządku dziennego. Pierwszą z nich było unormowanie trybu i warunków udzielania urzędnikom gminy zaliczek na ich płacę. Dotąd bywały one udzielane bez ścisłych norm i bez względu na rozporządzalne fundusze gminy, a prócz zwykłych zaliczek do wysokości kwartalnej płacy, spłatnych w krótszych terminach, rozdawano zaliczki przekraczające niejednokrotnie dwa lub nawet trzyletnią płacę urzędnika a spłatę ich rozkładano na przedługi lat szereg. Siłą nałogu stało się w końcu udzielanie zaliczek na płacę nie tem, czem ono być powinno, to jest bezprocentową, krótko-terminową pożyczką w wypadkach koniecznej, nagłej potrzeby, lecz przemieniło się w chroniczny nałóg brania zaliczek w byle jakim wypadku i spłacania ich, bez względu na panujące chronicznie pustki w kasie miejskiej, w ratach dowolnych, a z reguły zbyt oddalonych od zwykłego w innych instytucjach terminu spłaty. Wobec tego nieuregulowanego sposobu udzielania zaliczek, Rada miejska ma prawdziwą zasługę, iż zbadawszy tę sprawę, załatwiła ją na wczorajszym posiedzeniu wedle wniosków sekcji II i referatu dra Byka w ten sposób, iż odtąd będą zaliczki udzielane tylko w nadzwyczajnych wypadkach; nie będą przenosiły całorocznej pensji proszącego urzędnika; spłacanie jej nastąpi stanowczo w 60 miesięcznych ratach; zaliczka będzie zabezpieczana policą asekuracyjną; przed upływem terminu amortyzacji jednej zaliczki, nie będą dawane nowe. Maximum na zaliczki w jednym roku wyznacza się w sumie 5000 zł., zaś podania o zaliczki załatwiane będą perjodycznie co kwartał.

Następnie wyasygnowała Rada rz. kat. kapitule 1200 zł. subwencji na podmurowanie szkarpy przy kościółku św. Jana i przyjęła legat w kwocie 1000 zł., zapisany przez ś. p. dra Tytusa Lewakowskiego dla domu ubogich św. Łazarza.

Po załatwieniu dalszego szeregu mniej ważnych spraw administracyjnych, zamknął p. Prezydent jawne posiedzenie Rady, lecz przedtem uwiadomił, że p. Henryk Lam, sprawozdawca z posiedzeń Rady do urzędowej gazety, opuszczając redakcję tego pisma po 20-letniej służbie, był u p. Prezydenta z pożegnaniem, a przy tej sposobności wyraził on p. Lamowi w imieniu Rady podziękowanie za ścisłe, przedmiotowe i wyczerpujące sprawozdanie z obrad reprezentacji miejskiej.

Na posiedzeniu tajnem zamianowała Rada p. Michalinę Maramoross starszą nauczycielką przy szkole św. Zofji, a p. Ant. Lewaka starszym nauczycielem i kierownikiem tejże szkoły.

W końcu miano jeszcze nadać posadę starszej nauczycielki przy szkole im. Czackiego, lecz przy głosowaniu żadna z kandydatek — pani Kosowska i Schulbaumówna — nie otrzymała absolutnej większości. Pod ściślejsze głosowanie przyjdą przeto obie kandydatki na najbliższem posiedzeniu Rady.

Zmarli. Antoni Leontowicz, urzędnik ck. kolei państwowej, zmarł we Lwowie dnia 23 bm. w 50 roku życia. — Kasper Łapiński zmarł we Lwowie dnia 23 b. m. w 65 roku życia. — Jan Burkhardt zmarł w Kołomyi w 67 roku życia. — Juljan Bochyński, radzca sekcyjny, w ministerstwie sprawiedliwości, zmarł we Wiedniu dnia 22 b. m. — Paulina z Dereńgowskich Grońska, żona woźnego Towarzystwa Kredytowego, zmarła we Lwowie dnia 23 bm. w 35 roku życia. — Marcela z Lewickich Horodyska, wdowa po rządzcy dóbr ziemskich, zmarła we Lwowie dnia 23 bm. w 58 roku życia. — Jakób Jerzy Marschall, oficer korpusu c. k. Weteranów wojskowych, zmarł we Lwowie dnia 23 b. m. w 50 roku życia.

W sprawie wyboru posła do Rady państwa z okręgu mniejszych posiadłości powiatów brzeżańskiego, podhajeckiego i rohatyńskiego, piszą dzienniki ruskie, że kandyduje o to krzesło p. Andrzej Czaykowski, kandydat adwokacki z Brzeżan. Z polskiej strony wymienianych jest kilku kandydatów, lecz komitet centralny przedwyborczy nie powziął dotąd stanowczej uchwały, którego ze zgłaszających się kandydatów polecić ma wyborcom. Uchwała ta zapadnie dopiero na posiedzeniu komitetu, które się odbędzie w niedzielę d. 26 bm.

Z Krakowa donoszą nam, że wczoraj o godzinie 4 w nocy puściły nagle lody na Wiśle między Krakowem a Tyńcem, pomimo prawie dwustopniowego mrozu. Około godz. 5 rano płynące lody zaparły się i stworzyły zator, w skutek czego zaczęła się nagle woda podnosić, tak że w 20 minut doszła do wysokości 70 centymetrów i zdawało się chwilowo zagrażać pewne niebezpieczeństwo miastu i Zwierzyńcowi. Od godziny 7 jednak woda poczęła opadać chociaż powoli ale stale.

Na miejscu od pierwszej chwili ruszenia lodów byli pp. bar. Schaller, podpułkownik, dyrektor inżynierji, p. Niedziałkowski, dyrektor budownictwa miejskiego, oraz p. Eminowicz, naczelnik straży ogniowej. Pogotowia wojskowe i straży ogniowej były pod ręką na każde zawołanie, a na miejscach zagrożonych postawione były posterunki inżynierji wojskowej. W ogóle zarządzono wszelkie środki ostrożności i jeśli odwilż nie wpłynie na usunięcie zatoru, to zarządzone będzie rozsadzenie jego.

Wyścig łyżwiarski międzynarodowy odbył się w Wiedniu dnia 19 bm. Zwycięzcą był p. Panskin z Petersburga, który pomimo złego lodu przebiegł milę w 3 minutach i 25 sekundach.

O Siostrach Miłosierdzia pomieszcza liberalna *Mindener Ztg.* następujące słowa:

W r. 1864, na skutek starań radzcy rządowego, p. Osteratha, i ks proboszcza Koppa o urządzenie w mieście Minden stałej posługi chorych, sprowadzono Siostry Miłosierdzia (Franciszkanki z domu macierzystego w Akwizgranie).

Było ich z początku cztery, a gdy ta liczba dla tutejszych stosunków okazała się za małą, sprowadzono ich więcej i urządzono dla nich klasztor, który teraz zajmują. Od tego czasu humanitarna ta instytucja była prawdziwem błogosławieństwem dla całego miasta i okolicy. Siostry Miłosierdzia z największym wysiłkiem, w dzień i w nocy oddawały się pielęgnowaniu i wspieraniu chorych, ubogich i opuszczonych bez różnicy wyznania i bez myśli o jakiejkolwiek nagrodzie na ziemi. Osobliwie też w sposób najszlachetniejszy poświęciły się całkowicie pielęgnowaniu w swoim klasztorze sierot, których obecnie utrzymują dwadzieścia; a ubogim chorym rozdawały obiady bezpłatnie. Zyskały też sobie sympatję powszechną, którą ludność miejscowa okazywała żywem współczuciem przy wypadkach śmierci Siostry Miłosierdzia i tłumnym udziałem przy ich pogrzebach.

Na 25 rocznicę ich osiedlenia się w Minden, która przypadała 19 listopada, dziennik proponował jak najuroczystszy obchód, i ażeby w dniu owym jak najhojniejsze dary niesiono do klasztoru Sióstr dla ubogich, ich pieczy powierzonych i kończy słowami:

„Siostrom Miłosierdzia, w uczuciu wdzięczności i miłości chrześcjańskiej, w dniu ich pamiątkowym składamy najszczersze życzenia błogosławieństwa na dalsze 25 lat i takiej siły, cierpliwości i rezygnacji w pełnieniu swego ciężkiego powołania, jakie miały dotąd“.

Królowa grecka w niebezpieczeństwie życia. W ubiegły poniedziałek wydarzył się królowej greckiej wypadek, który mógł się tragicznie skończyć. Królowa przechadzała się z dwoma synami ulicą Kephissia. Naraz druty, przewodzące światło elektryczne, a poprowadzone ponad dachy domów, spadły na nią tak, że zawikłała ona się w nie całkiem i dopiero przechodnie uwolnili ją z tego niemiłego położenia. W kilka minut potem puszczono temi drutami prąd elektryczny, gdyż wieczorne oświetlenie ulic rozpoczynało się. Gdyby prąd elektryczny był szedł przez druty w chwili, gdy królowa w nie się zawikłała, musiałaby była zginąć na miejscu.

Stanley na scenie. Z przygód słynnego podróżnika postanowiło, jak donosi paryskie *Figaro*, skorzystać dwóch paryskich pisarzy dramatycznych, którzy na tle tych przygód przygotowują dla jednego z większych teatrów paryskich, wielkie widowisko sceniczne.

Podróż w skrzyni. Dnia 16 bm. przybyła na dworzec kolei wschodniej w Paryżu z Wiednia oryginalnie zbudowana skrzynia półtora metra wysokości. Skrzynia ta miała kształt piramidy i opatrzona była dwoma napisami: „Bardzo kruche!“ i „Nie wywracać!“ Jako zawartość skrzyni podana była drewniana figura modelowa, a adres opiewał: „Panu Hermanowi Zeitungowi, dworzec, poste restante Paryż.“

Gdy po przybyciu pociągu nikt się nie zgłosił po odbiór skrzyni, służba zaniosła ją do magazynu urzędu cłowego. W ostatniej wszakże chwili jeden ze służby spostrzegł, że mała nakrywka, w którą skrzynia u góry zaopatrzoną była, otwiera się i w ogóle skrzynia się porusza. Usłyszano nadto wyraźny szmer w jej wnętrzu i nagle otworzyły się dotychczas niedostrzeżone drzwiczki, a ze skrzyni wyjrzała głowa człowieka.

Naprzód sprzątnięto z odzienia jego mnóstwo słomy, a potem mieszkańca skrzyni zaprowadzono do komisarza policji.

Z opony słomianej wyszedł człowiek 28letni, bardzo małego wzrostu a okazałej tuszy. Oświadczył on, że — potrzebując koniecznie odbyć podróż do Paryża, a nie mając na nią funduszów — postanowił dostać się do stolicy nadsekwańskiej jako pakunek.

Herman Zeitung, rodem z Warszawy, od lat kilku mieszkał w Wiedniu u dekoratora Ignacego Weissa. Z zawodu jest on krawcem damskim, ale nie pilnował tego rzemiosła, lecz marzył o różnych wynalazkach, zwłaszcza o takich, któreby można zastosować do kunsztu krawieckiego. I tak wymyślił biusty modelowane z papieru i pozyskał dla tego interesu pewnego kupca, który sam otworzył wielki handel temi biustami, a autora pomysłu skwitował kilkoma guldenami.

Warszawski krawczyk byłby wówczas z głodu zginął, gdyby nie dekorator Weiss, który mu kredytował mieszkanie, pożywienie i gotowiznę. Zeitung tymczasem, gdy mu się udało co zarobić, kupował tylko narzędzia i materjały i ciągle oddawał się nowym eksperymentom.

Od czterech miesięcy Zeitung Weissowi nic nie płacił, a niedawno temu oświadczył mu, że jedzie do Paryża.

— A czy masz pan pieniądze?

— Pieniędzy nie mam, ale mam myśl; zbuduję skrzynię i każę się przewieść jako bagaż do Paryża.

Skrzynia składała się z dwóch części, mianowicie ze starej zwyczajnej skrzyni i z wieżowej obsady, którą Zeitung sam zmajstrował. Zyskała ona taką przez to wysokość, że Zeitung (człowiek bardzo małego wzrostu) mógł w niej prosto stanąć. Były tam i drzwiczki (15 cali szerokie a 12 wysokie), które mieszkaniec skrzyni mógł otwierać wedle upodobania, w ścianach zaś wieżowej obsady Zeitung wywiercił kilka dziur ukośnych, aby wpływało powietrze i aby go nikt nie widział.

W poniedziałek (13 bm.) od żony Weissa pożyczył kilka guldenów; kupił słomy dla wyścielenia skrzyni, bochenek chleba, flaszkę wódki, flaszkę z wodą i flaszkę próżną; następnie zamówił komisjonera, aby nazajutrz z rana skrzynię odwiózł na dworzec kolei zachodniej i tam ją nadał. Komisjonerowi zapłacił za to Zeitung 3 zł.

We wtorek wieczorem Herman Zeitung odjechał do Paryża, gdzie we czwartek rano na dworcu kolei wschodniej wychyliła się z arki jego głowa.

Komisarz policji zamknął Zeitunga do aresztu, ponieważ kolei za przewiezienie skrzyni należało się 49 fr. 80 ct.

Skoro wieść o tej niebywałej podróży gruchnęła po Paryżu, redakcja paryskiego brukowego pisma *Le petit Journal* robiła wszelkie usiłowania, ażeby uwolnić Zeitunga z aresztu i zapłaciła wszystkie pretensje kolei.

Za to Zeitung musiał opowiedzieć wszystkie swe wrażenia, jakie doznał podczas podróży.

Opowiedział on, że dlatego skrzyni swej nadał kształt piramidy, żeby go służba kolejowa nie postawiła głową na dół; powietrza brak mu było, więc trzymał usta wciąż przy dziurce wywierconej; ale i to niewiele pomagało. Zapewnia on, że gdyby podróż ta potrwała była jeszcze kilka godzin, to przywieziono by go nieżywego.

Zeitung zrobi na tej podróży wyborny interes, gdyż gazety paryskie zajęły się jego losem i wiele osób zgłosiło się już, że chce dać pomysłowemu żydkowi korzystne zatrudnienie.

Kobieta wtedy tylko unosi się nad pięknością drugiej, kiedy znajduje się w towarzystwie trzeciej, która o pierwszeństwo z tamtą walczy.

Umiejętność jest boginią,
Rozum dobrą gospodynią.

Teatr. Dziś po raz drugi „Koteczki“, komiczna operetka w 3 aktach a 4 odsłonach Feliksa Hugona.

Jutro, w sobotę, po raz trzeci „Koteczki“ operetka Feliksa Hugona.

W niedzielę po południu „Emigracja chłopska“ obraz ludowy w 5 aktach Anczyca.

Wieczorem „Żydówka“ opera Halevy'ego z panną Pawlikówną.

W poniedziałek przedstawienie składane. Rozpocznie „Partja pikiety“, komedja z francuskiego, nastąpi „Złoty cielec“ z p. G. Fischerem, zakończy „Werbel domowy“, obrazek ludowy w 1ym akcie ze śpiewami i tańcami.

We wtorek „Hugenoci“, opera, z panną Pawlikówną.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Dla zwolenników operetki był wczorajszy wieczór bardzo zajmujący; po długiem wyczekiwaniu ujrzeli oni wreszcie zapowiadane od tak dawna „Koteczki“, premjerę całkiem nowego kompozytora i librecisty.

Mówiono i pisano o niej już przeszło dwa miesiące; jedni z góry przesądzali wartość rzeczy w kierunku ujemnym, drudzy w dodatnim. Przedstawienie wczorajsze dowiodło, że prawda — jak zwykle, tak i tym razem — znachodzi się po środku. Amfiteatr silnie obsadzony traktował nową operetkę bez entuzjazmu, ale i bez niechęci; sztuka zdradziła znaczne wady, ale i cenne przymioty; słowem na razie odniosła sukces średni, dalszych horoskopów po pierwszem przedstawieniu stawiać jej jeszcze niepodobna.

Muzuczna ilustracja „Koteczek“ jest pracą p. Feliksa Heymana, Niemca z Wiednia; młody to człowiek, zaledwie 23letni, mający być wszechstronnie utalentowanym, doktor jakiegoś fakultetu, zarządzca jednej z galicyjskich kopalń nafty i kompozytor. Libretto wyszło pierwotnie również z pod niemieckiego pióra, przerabiali je dopiero u nas pp. Mieczysław Kamiński i Żymirski.

Ojciec trędowatych.

A. Craven. Les lepreux des iles Sandwich et le Père Damien. „Correspondant“ 1889.

Ci, którzy czytali powieść Wallace'a „Ben-Hur“, pamiętają zapewne owę scenę, gdy bohater powieści znajduje nareszcie matkę swą i siostrę w osadzie — trędowatych. Rzewna ta scena należy do najpiękniejszych i najbardziej wzruszających, a przychodzi mi na myśl zawsze, gdy spotykam się z opisem dzieł jednego z największych i najświętszych misjonarzy, jakich wydał wiek dziewiętnasty. O ojcu Damianie, o zakonniku belgijskim, zmarłym w kwietniu r. z., który wysłany na wyspy Sandwich, z własnej woli i inicjatywy udał się na pewną śmierć między trędowatych, stał się ich apostołem, pracę swą i życie tym wydziedziczonym poświęcił, istnych dokonywając cudów, wreszcie padł ofiarą tej strasznej choroby, z okropnościami której przez tyle lat walczył — wiadomo już chyba wielu. Wspominały o tym „największym bohaterze XIX wieku“ — jak go nazwali Anglicy — i nasze dzienniki, nietyle jednak, by dać poznać całą wielkość poświęcenia tego kapłana, by zaznajomić nieco dokładniej z tem, co robił i co stworzył.

A jednak w innych krajach, zwłaszcza w Anglji, Francji i Ameryce, historja O. Damiana ma już niemal swą literaturę. Poświęcono mu stosy artykułów, wydano sporo książek i broszur, a jeden z głośnych malarzy angielskich, pan Edward Clifford, odbył przed rokiem umyślną podróż do Honolulu, by własnemi oczyma przypatrzeć się osadzie trędowatych w Molokaii, a powróciwszy, wrażenia swe opisał w dziele, które dziś obiega wszystkie strony świata, gdzie tylko sięga język angielski, a bije serce miłosierne, budząc podziw i zachwyt tak gorący, że w tym protestanckim kraju odbywano meetingi dla uczczenia pamięci katolickiego misjonarza, składając niezmiernie hojne ofiary na dalsze podtrzymanie jego przedsięwzięcia. Na jednym z takich meetingów w Londynie prezydował sam ks. Walji, w Paryżu zaś Akademja francuska uczciła niedawno pamięć świętego zakonnika na posiedzeniu, poświęconem rozdawnictwu „nagród cnoty“, przez wymowne usta znakomitego biskupa Peraud.

Piękne a wzruszające opowiadanie głośnej powieściopisarki angielskiej, pani Craven o tym „ojcu trędowatych“, reasumuje niejako wszystko, co dotychczas o O. Damianie w Anglji napisano. Nazywał się on właściwie Józef Damian de Veuster, a urodził się dnia 3 stycznia 1846 r. w Belgji, w Tremeloo, niedaleko Louvain, z rodziców średnio zamożnych. Od najmłodszych lat miał powołanie do stanu zakonnego, to też, gdy rodzice zawieźli go raz do Louvain, do klasztoru zakonu Serca Jezusa i Marji, gdzie odbywał nowicjat starszy ich syn, Pamfili, Damian nie wrócił już więcej do domu, oświadczając, że za przykładem brata, poświęci się misjonarstwu. W roku 1863, gdy Pamfili był już kapłanem, a Damian otrzymał dopiero święcenia mniejsze, nadszedł do starszego rozkaz udania się na misję. O. Pamfili był jednak wówczas ciężko chory i pomimo najszczerszych chęci nie mógł spełnić polecenia przełożonych. Brat więc młodszy ofiarował się go zastąpić. Ofiarę przyjęto, O. Damian wyruszył na wyspę Sandwich i dopiero tam, w Honolulu, wyświęconym został na kapłana.

Wyspy Hawai albo Sandwich, leżą na Oceanie Spokojnym, między Australją i Ameryką, w równej niemal odległości od obydwóch. Odkryte w r. 1778 przez słynnego kapitana Cook, dopiero w r. 1820 ujrzały pierwszych misjonarzy chrześcijańskich. Pierwszy kościół katolicki stanął w Honolulu w r. 1839, ale z powodu niezwykłego rozrzucenia katolików po małych wysepkach, jak również z powodu braku kapłanów, stan ich był bardzo smutnym, a rezultaty misji skąpemi. Dopiero usilna praca O. Damiana zaczęła wydawać coraz obfitsze owoce. Podczas ustawicznych wycieczek po wyspach miał on sposobność spotykać na każdym niemal kroku trędowatych, a serce świątobliwego kapłana krajało się na widok scen okropnych, jakie się rozgrywały z powodu środków ostrożności, przedsiębranych przez rząd hawajski, celem przecięcia strasznej zarazy, szerzącej się z nadzwyczajną gwałtownością. Wskazał mianowicie rząd jedną z wysepek, nazwiskiem Molokaii, na wyłączne miejsce pobytu dla trędowatych, wywożąc tam wszystkich, dotkniętych tą chorobą. Biedacy opierali się temu rozkazowi musiano ich siłą odrywać od rodzin, które niebaczne na niebezpieczeństwo, chowały swych chorych przed czujnem okiem władzy, po strychach, piwnicach i najrozmaitszych kryjówkach. W miarę jednak postępu zarazy, wzmagała się surowość rządu i oto niebawem zaludniła się „wyspa śmierci“ — Molokaii.

Ujrzał ją po raz pierwszy O. Damian, udawszy się tam z swoim biskupem, by nieszczęśliwym usługę duchowną ponieść. Straszny ich los tak go wzruszył, że odtąd postanowił z niemi na zawsze zostać. Było to w roku 1873, O. Damian miał wówczas lat 33 i cieszył się niezwykłem zdrowiem.

Stan, w jakim zastał trędowatą ludność Molokaii, był rzeczywiście strasznym; żadnej nie miała opieki, żadnego kierownictwa duchownego, więc skazani na wymarcie, bez światła nadziei, którą mogła im dać jedna tylko wiara, pędzili żywot gorszy od zwierzęcego. Brakowało im wszystkiego: mieszkań odpowiednich, dozoru, pociechy, środków moralnych i materjalnych, łagodzących okropne ich położenie.

W owej epoce było już na Molokaii przeszło 1000 trędowatych, a liczbę ich powiększały ciągle nowe transporta. Przy nadejściu okrętu cała ta zarażona ludność wylegała na brzeg, wypatrując z trwogą, czy nie przywożą kogo z krewnych lub przyjaciół, tak samo trądem dotkniętych. Następowały spotkania, sceny tak groźne i okropne, że serce pękało na ich widok. Co zaś było najgorszem, to zupełne zdziczenie, jakie z czasem wyradzało się wśród tych nieszczęśliwych. Zrozpaczeni, beznadziejni, opuszczeni przez wszystkich, oddawali się rozpuście i pijaństwu, wyrabiając likier z rośliny zwanej „ki.“ Upojeni tym narkotykiem, który rozwijał jeszcze bardziej chorobę, objawy jej czyniąc stokroć dotkliwszymi, włóczyli się jak stada dzikich zwierząt, wyjąc z bólu i rozpaczy. Na wszystkie przedstawienia i uwagi, odpowiadali jednogłośnie: „iż nie ma tu żadnych praw, żadnych przepisów i obowiązków.“ Środków na ujęcie ich w jakieś karby nie było. Pomimo więc najlepszych chęci rządu hawajskiego, położenie trędowatych w Molokaii stawało się z każdym dniem okropniejszem. Wyglądała ta wyspa jak istny „cmentarz żywych.“

W takich to warunkach rozpoczął O. Damian swą pracę. Była ona zaiste nadludzką, ale święty kapłan wierzył w pomoc Bożą. Jakoż, nie mogąc strasznej choroby uleczyć, wziął się przedewszystkiem do jej złagodzenia. Szło najpierw o wykorzenienie pijaństwa. Więc wkrótce wpływem swym, perswazją, sercem, dobrocią, wreszcie przykładem tak wielkiego poświęcenia, wymógł tyle, że zrazu mała garstka, a wkrótce cała ludność trędowatych zaniechała wyrobu owego likieru. — Później zaczął stawiać mieszkania, ujął chorych w pewne karby, skłonił do zajęć, rozłożył dzień cały na pracę i możliwą rozrywkę, wszystko sam czyniąc i spełniając najostatniejsze posługi. Klimat wyspy był bardzo łagodny, roślinność bujna, ale brakowało wody. O. Damian wyszukał kilka źródeł, pokopał studnie, a powoli tak na tych nieszczęśliwych oddziałał, że odzyskawszy z wiarą nadzieję, zaczęli się sami krzątać około polepszenia swego losu.

Trzeba przyznać, że rząd hawajski nie szczędził mu pomocy i poparcia. Wszystko, czego O. Damian zażądał, przesyłano, nie mogąc dać jeno tego, na co on jeden się tylko zdobył — ofiary zdrowia i życia.

Ale praca misjonarska odniosła skutki. Wkrótce sama ludność trędowata wystawiła sobie domy czyste, widne, jasne, zaopatrzone jak szpitale. — Z silniejszych i dopiero początkami choroby dotkniętych, wytworzył się rodzaj służby sanitarnej, doglądającej tych, co już nie mieli z łoża boleści powstać. Stanęły też dwa skromne kościółki, na dwóch krańcach wyspy, zapanował pewien ład, porządek, pewne ukojenie. Wszystko to, dzięki niezwykłej energji i poświęceniu człowieka, który przez pierwsze miesiące swego pobytu sypiał pod gołem niebem, a przez dnie całe spełniał wszelkie możliwe funkcje kapłana, lekarza, budowniczego, prawodawcy i t. d. Początki były zapewne bardzo skromne, pomoc rządu i ludności hawajskiej arcyniedostateczna, ale to, co O. Damian zdołał zrobić, tak przechodziło wszelkie przewidywanie ludzkie, tak wydawało się nadprzyrodzonem, że sława zmian w Molokaii rozeszła się po wszystkich wyspach Sandwich, budząc uwielbienie dla twórcy tej osady, a współczucie dla jego dzieła.

(Dok. nast.)

Okoliczność ta, niestety, bardzo dotkliwie odbiła się na stylowej stronie libretta: przerabiacze widocznie krępowani tekstem obcym, nie zawsze zdołali pokonać szczęśliwie trudności, jakie on im nastręczał. Może z tej samej przyczyny brak librettowi „Koteczek“, humoru, dowcipu i werwy, tego, co w operetce szczególniej jest niezbędnem; mdła proza to dla niej w połowie zabójstwo.

Głównej fabule natomiast nie można odmówić pewnej zręczności i dobrej, jak na operetkę, intrygi.

Aby ją poznać, musimy cofnąć się wstecz o wiek cały, w epokę Bonapartych i do ich nadsekwańskiej stolicy. Niejaki pan de Cologny umierając zlecił najuroczyściej w testamencie, by jego córka, Jullieta, przed rokiem 18 życia wyszła za Jerzego margrabiego de Noilles, w przeciwnym zaś razie, by wstąpiła do klasztoru. Wykonawcą ostatniej woli Cologny'ego został Jerome Dupont, eks-golarz i burmistrz z Cannes. Rozporządzenie takie to woda na młyn poczciwego pana mera; korzystając bowiem z awanturniczych skłonności i rozkiełznanej donżuanerji młodego markiza de Noilles, żywi nadzieję, iż Julietta zań wyjść nie będzie mogła, że warunek testamentowy nie zostanie spełnionym, że zatem, umieściwszy Juliettę w klasztorze, p. mer zdoła wielki majątek Cologny'ego dla siebie zagarnąć. Ładnym planom opiekuna los sprzyja; markiz bowiem w ciągu swej łobuzowskiej karjery spotyka pannę Fanchon Durand (pierwszą krawczynię w salonie mód niejakiej pani Adeliny) i zakochuje się w niej na serjo. Akt pierwszy wprowadza nas właśnie na chwilę zaręczyn tej pary. Dzięki... pomysłowości librecisty, pod tę samę porę zjawia się we wspomnianym magazynie strojów damskich burmistrz Dupont, aby u właścicielki zamówić dla Julietty suknię ślubną do — klasztoru; wszak za kilka miesięcy pupilka skończy ośmnastą wiosnę... Zarazem zdradza p. burmistrz inny cel przybycia do Paryża; oto pragnie wyszukać dla Julietty „panny do towarzystwa“. Adelina odgadłszy z wynurzeń burmistrza, iż w całej sprawie chodzi o markiza, postanawia swoję Fanchon ratować z sideł takiego lamparta i ofiaruje ją burmistrzowi, jako poszukiwaną przezeń *dame de compagnie*. Lecz markiz dowiaduje się o wszystkiem, a zapewniwszy ukochaną Fanchon o głębokości i prawdziwości uczuć swoich, zgadza się na jej wyjazd ale pod warunkiem, iż razem popracują nad szczęściem Julietty; markiz z nią się nie ożeni, bo serce oddał już Fanchonie ale wyswatają ją wczas za kogo innego. Tym wybrańcem robi librecista p. Jerzego Roquet, z zawodu weterynarza, którego poznajemy w malarskiem atelier Julietty de Cologny, u jej opiekuna w Cannes. (Akt II).

Czcigodny konował przychodzi do burmistrza z interesem, zamiast gospodarza jednak spotyka Juliettę, która mu — naturalnie — opowiada swoje smutne dzieje i klasztorną przyszłość. Jerzy, choć właściwie lekarz bydła, pełen atoli tkliwości dla cierpień młodych, pięknych a bogatych panien, oświadcza gotowość wybawienia biednej Julietty. Uda markiza. Ba, kiedy na przeszkodzie stoi jeden szkopuł. Oto prawdziwego markiza de Noilles łatwo poznać po... „koteczkach“. Kiedy bowiem szukając przygód miłosnych po świecie, uprowadził ze Stambułu raz faworytę sułtana na Maltę, rozkochał się tam wnet w pewnej Greczynce a mściwa Czerkieska, jej poprzedniczka, z zemsty i ku wiecznej pamięci, jak niestałym był markiz, kazała mu na rękach wypiętnować... dwie koteczki. Weterynarz ich nie ma, lecz Julietta wybornie malując może na to poradzić, co też czyni. Ztąd wątek do reszty operetki.

Markiz zostaje wezwany do wojska, pragnie jednak przedtem poślubić Fanchon i uchodzi przed obowiązkiem żołnierskim. Admirał Gatineau wpada na trop dezertera. Tymczasem weterynarz przyjął już na siebie rolę markiza, musi więc być konsekwentnym i idzie na wojnę za margr. de Noilles, ten znów uniesiony szlachetnością, podąża za weterynarzem. Wszystko to bardzo... operetkowe ale na scenie nie razi. Całą komedję odkrywa pan burmistrz a rozwścieklony gotuje się do zdemaskowania jej aktorów. Uratowanie sytuacji jedynie w rękach Fanchon'y, dla której p. Jeremiasz Dupont nadzwyczajną czuje słabość. Wyzyskuje to sprytna Fanchon i kokieterją zawraca głowę opiekunowi Julietty do tego stopnia, iż łysy adonis przyrzeka zniszczyć ów fatalny testament, jeśli otrzyma rękę Fanchon'y.

Epilogu domyślić się łatwo, trzymając się ściśle utartych pod tym względem reguł operetkowych. Fanchon oświadczyny przyjmuje, kontrakt ślubny ma być natychmiast podpisany i podpisany zostaje wobec notarjusza, którym oczywiście nie może być nikt inny, jak tylko... przebrany markiz. Podstęp wnet się wyjawia, ale dla pana burmistrza za późno, gdyż testament w... piecu. Bezbronny musi p. Dupont patrzeć, jak markiz z Fanchoną a Jerzy z Juliettą przysięgają sobie miłość dozgonną.

O muzyce i wykonaniu pomówimy jutro.

* **„Światełka“** numer 3 wyszedł i zawiera: Sassacus, opowiadanie z czasów wojen Indjan z białymi przez Szczęsnego Zahajkiewicza (ciąg dalszy). — Ser i Gomułka, anegdota historyczna przez Karola Rawera. — Bajki i legendy, przez Sz. Parasiewicza (ciąg dalszy). — Włodziuś i mamut, przez Annę Załęską. — List z Jerozolimy ks. Norberta Golichowskiego.— Wiersz Sagitty i Zofji Mrozowickiej. — Rozmaitości i Zagadki.

Numer ozdobiony jest dwoma rycinami.

* **Konkurs literacki.** Redakcja świeżo powstałego w Krakowie *Przęglądu akademickiego*, organu tamecznej młodzieży uniwersyteckiej, ogłosiła konkurs na napisanie „Historji polskiej“ dla ludu, pod następującemi warunkami:

1. Praca ma się opierać na najnowszych badaniach historycznych i uwzględniać, o ile możności, wszystkie zdobycze naukowe w zakresie dziejów polskich dotychczas dokonane. 2. Okres do wstąpienia na tron Mieczysława I. powinien być traktowany bardzo zwięźle, geneza społeczeństwa polskiego naszkicowana w ten sposób, że autor poda w treściwej formie najważniejsze hypotezy w tym kierunku. 4. Szczególniej uwzględnić należy historję stanu włościańskiego i mieszczaństwa. 4. Styl ma być jasny i prosty; unikać należy wyrażeń obcych i wprowadzania osób opowiadających. Autor powinien opowiadać sam i to tak, aby go każdy łatwo zrozumiał. 5. Rękopis obejmie 10—12 arkuszy druku. 6. Najlepsza praca otrzyma nagrodę w kwocie 100 zł. 7. Rękopisy nadsyłać należy do Zarządu Towarzystwa oświaty ludowej w Krakowie, najpóźniej 5 marca 1891 r. i dołączyć w opieczętowanej kopercie nazwisko autora.

Rozmaitości.

— **Kawa w Danji.** Nie każdemu wiadomo, iż kawa od niedawna dopiero stała się w Danji powszechnie używanym napojem. Starzy ludzie z Laalandu opowiadają, iż dawniej każdy, kto używał tego arabskiego napoju, trzymał to w największej tajemnicy. Pomiętają tam jeszcze czasy, kiedy na wiadomość o odwiedzinach przyjaciela lub przyjaciółki, chowało się czem prędzej przybory do kawy, aby ich kto, broń Boże, nie zobaczył, a przed paleniem kawy i podczas tej operacji robiono umyślnie mnóstwo swędu, paląc pióra lub stare pończochy, aby tylko nie zdradzić się z zapachem kawy. W jednem z pism z roku 1819 znajduje się też opis następującego wypadku: Pewien wdowiec z Qreby, nazwiskiem Mads Hausen, zaręczył się również z wdową, Dorotą Augustdatter. Oboje posiadali po kilkoro własnych dzieci i według starego zwyczaju miejscowego, zaraź po zaręczynach zamieszkali razem. Atoli po miesiącu, 15 lutego 1819 roku, pojawił się Hausen wraz ze świadkami u kaznodziei Daniela Smitha i oświadczył, że z Dorotą już żenić się nie myśli, okazało się bowiem, że prowadzenie jej jest naganne, oraz że posiada wady, o których on przedtem wcale nie wiedział. Kaznodzieja zwrócił się wówczas do świadków, pytając, co Dorocie mają do zarzucenia? Świadkowie odpowiedzieli, że właściwie Dorota nieźle się prowadzi, jest bowiem porządna, pilna i uczciwa, ale... lubi kawę i pija ją potajemnie. Rozsądny kaznodzieja starał się przekonać Hausena, iż namiętność jego przyszłej nie jest zbyt karygodną, wdowiec jednak upierał się przy swojem mówiąc: „Nie, nie chcę! Taki zły przykład dla dzieci! Nie, nigdy!“. I małżeństwo nie przyszło do skutku.

— **Podziemna rzeka** odkrytą została pod Miers w departamencie Lot. Śledzono na długości dwóch kilometrów jej bieg, przyczem natrafiono na cudowne groty, znaleziono 7 jezior i 32 wodospady.

Przypuszczają, iż rzeka ta przebiega pod ziemią na przestrzeni 7 kilometrów i zasila jedno z wielkich źródeł, które pod Staint-Denis-Martel wpadają do Dordogne.

— **Dowód niezwykłego roztargnienia** dał niejaki Völkel, górnik jednej z kopalń w Bytomiu na Górnym Szląsku.

Zapomniał on, że jednego z ubiegłych dni tygodnia miał się... ożenić.

Wszystko było przygotowane, orszak weselny zebrał się w miejscu oznaczonem, pana młoda w stroju oblubienicy napróżno z biciem serca oczekiwała narzeczona; Völkel nie przybywał.— Rozpoczęto tedy poszukiwania i odnaleziono go w szybie przy zwykłej robocie.

Okazało się, że Völkel najspokojniej udał się do swej pracy, zapomniawszy w prostocie ducha o dniu ślubu swego.

— **Zbytek.** Zbytek — magiczne słowo, w ogólnem swojem znaczeniu taka dobra abstrakcja, jak i inne.

Zbytek — czemże on jest właściwie?...

Czy zbytkuje przyroda pawiem piórkiem, kolorami kolibrów, wonią róży, światłem gwiazdy? Czy nie zbytkuje ludność cywilizacją, sztuką? Czy w życiu pojedyńczego człowieka wszystko, co nie jest *train-train* djogenesowskiem, nie jest zbytkiem?

Ba, Djogenes nawet w beczce siadywał — zbytkował oczywiście.

Gdzie się potrzeba kończy, a zbytek zaczyna? Nie mówiąc już o społeczeństwach, kto pytanie to rozwiąże odnośnie do każdego z osobników.

A przecież zbytek istnieje; przejawia się niekiedy tak jaskrawo, iż gołem okiem dostrzedz się daje, razi nawet czasem oczy.

Zbytkują w tym stopniu osobniki, zbytkują społeczeństwa i zbytkowały.

Świadkiem historja.

Twierdzi ona — a sięgamy wzrokiem w przeszłość i to daleką — iż najmniej zbytkowały trzeźwe Chiny.

Wielki narodu tego reformator w pogardzie miał zbytek, prostotę zalecając na każdym kroku.

To też w Chińczyku nie ma ani śladu poczucia piękna. Teatr ich, to niesmaczna, z grubsza obrobiona zaledwie szopka, a w dziełach sztuki jedynie strona techniczna wydoskonalona.

Bezmyślnym wydaje nam się również zbytek starożytnego indusa. Streszcza się on w świątecznych strojach królów i kapłanów, w uroczyście przyodzianym słoniu, obwieszonym klejnotami.

Jakże pokaźnie na tle tem występuje zbytek Egiptu.

Piramidy, wszak to przykład zbytku niezrównany; grobowce, jakich już nigdy potem nie miewali królowie.

Podczas budowy największej z olbrzymów tych, piramidy Cheopsa, samo wyżywienie robotników, w czasach, w których żywność nie opłacała się zapewne złotem, kosztować miało 7 mil. marek.

A olbrzymie sfinksy, a obeliski, a świątynie i labirynty, całe umarłych miasta, z których najsłynniejsze 1500 komnat podziemnych posiadało.

A celem zbytku tego — pozostawienie pamiątki na wieczność.

Każdy pogrzeb wołu Apisa opłacał się 700.000 marek.

Zbytek Babylonu, Niniwy, Persepolis — to prawie bajka.

Za to zbytek ubogiego ludu mojżeszowegoześrodkował się cały w świątyni Salomona.

Inaczej zbytkowali Grecy.

Niewolnicy to byli piękna, służąc mu ślepo aż do ostatniego tchnienia.

Już bohaterów Iljady pokrywają zbroje, na opis których całe rozdziały poświęca Homer.

Ileżby ich zużył, gdyby mu przyszło opiewać piękność i bogactwo dwóch najwyższych objawów sztuki greckiej, olbrzymich dwóch posągów: Pallas Ateny i Zeusa olimpijskiego.

W pierwszym z nich, stojącym jak wiadomo, niegdyś na straży Akropolu, zużyto złota za 2 i pół milj. marek.

Na treść posągu Zeusa w świątyni olimpijskiej złożyły się: kość słoniowa, złoto i klejnoty.

A posąg to był rozmiarów olbrzymich. Kształty boga rzeźbione z kości słoniowej, pokrywał płaszcz złoty. Tron utkały: kość słoniowa, heban; złoto i klejnoty.

I została się z wspaniałości tych — garstka popiołu.

Cesarz bizantyński, Teodozjusz, przeniósł posąg Zeusa do Konstantynopola i tu olbrzymie dzieło najwykwintniejszej sztuki padło ofiarą pożaru.

Koszt budowli, wykonanych w Atenach za rządów Periklesa, oceniają na 28 milj. marek.

Jeszcze inaczej zbytkowała Roma.

Niesłychany zbytek władczyni świata składał się z pojedyńczych zbytków jej obywateli.

Lucullus był tak bogatym, że mógł na ucztę, wyprawioną dla Cicerona, wydać 50.000 drachm, czyli 37.000 marek. I nic to dziwnego, jeśli weźmiemy pod uwagę, że stawy tego smakosza, za pomocą wodociągów, zasilane wodą morską, miljony kosztowały.

Cezar, obejmując w Hiszpanji stanowisko pretora, spłacił w Rzymie 25 milj. sestercyj (około 4 milj. marek) długów osobistych.

Crassus był w stanie przez trzy miesiące żywić lud rzymski własnem zbożem bez zbytecznego zubożenia.

Co kosztowały igrzyska, uroczystości religijne i stroje starej Romy, miljonami miljonów oceniaćby należało.

Cesarstwo bizantyńskie zamiłowanie do zbytku przejęło z Rzymu, nakładające na nie cechę wschodnią. Zbytek to był również natury czysto osobistej i rozpłynął się w zaborze tureckim prawie bez śladu.

Więcej pozostało nam po Arabach.

Prócz bajek z tysiąca i jednej nocy, Alhambra w Grenadzie, meczet w Kordubie — podziwem były wieków późniejszych.

I blado już rysuje się w porównaniu, acz wspaniały jeszcze zbytek epoki odrodzenia, lub dworów Ludwika XIV i XV, dworu Elżbiety angielskiej i t. p.

A co rzec mamy o zbytku dzisiejszych giełdowiczów.

Chyba nic.

— **Przodkowie.** Przed laty starali się wszelkiego rodzaju dorobkowicze, a głównie ze świata bankierskiego i przemysłowego o sztuczne drzewa genealogiczne, fabrykowane przez specjalistów, dla okazania dawności niedawnego rodu. Dziś za też same pieniądze, które dawniej płacono heraldykom, można się zaopatrzyć w całą kolekcję przodków i to po części fabrykowanych, po części pochodzących ze starych galerji portretów. Amerykańscy miljonerzy zwłaszcza niesłychaną miłością otaczają swoich malowanych prapraojców, każdy z nich bowiem chce pochodzić w prostej linji od pierwszych osadników, którzy za Karola II przybyli z Anglji do Ameryki. Główny targ na przodków odbywa się w Londynie, dokąd idą z Paryża całe zbiory starych obrazów z czasów Ludwika XIV do Ludwika XVI, sprzedawane w hôtel Drouot. Portrety te służą specjalistom, jako typy, podług których wyrabiają się całe szeregi przodków, naturalnie nieco zakurzonych... Głównem zadaniem takich specjalistów malarzy jest wyszukanie pomiędzy starymi portretami typu, który miałby niejakie podobieństwo w budowie twarzy do dziś żyjącego potomka.

— **Hodowla koni pełnej krwi** w Anglji rozwija się bezprzestannie i dostarcza rozpłodników innym krajom Europy i Ameryki. W r. 1889 z 3.633 klaczy pełnej krwi przybyło 2.152 źrebiąt, t. j. 1.087 ogierków, a 1.065 klaczek, bowiem 1.029 klaczy stadnych pozostało jałowych, 120 było złączonych z ogierami pół krwi, zaś 140 wyprowadzono za granicę Anglji. W tym roku na wyścigach ubiegało się w Anglji 2.131 koni o 1.623 nagród. Pomimo zwiększenia się liczby nagród, zmniejszyła się w porównaniu z laty ubiegłemi liczba koni startujących, bo wzmógł się znacznie eksport angielskich koni, szczególnie do południowej Ameryki. Na wzmiankowaną cyfrę 2.131 koni, które w r. 1889 produkowały się publicznie, większa połowa przypada na konie dwuletnie, a tylko 276 startowało koni czteroletnich. Nienormalny ten procent młodzieży do koni starszych wymownie określa niebezpieczeństwo gonitw dla dwulatków, przez które większość przyszłych szermierzy przepada. A w Anglji szczególniej wyścigi dwulatków zaczynają się wcześniej aniżeli w innych krajach Europy, lecz już obecnie przeważa u hodowców angielskich zdanie, aby nie puszczać na tor wyścigowy dwulatków i zmniejszyć liczbę nagród dla tego wieku koni wyznaczonych.

— **Ciekawą notatkę** o teraźniejszych cenach arcydzieł malarskich za granicą podaje londyński *Dајly Graphic*. Oto donosi on, że lord Dudlej, który, powiedzmy w nawiasie, więcej jest sprytnym przemysłowcem i biegłym znawcą sztuk pięknych, niż ich lubownikiem, sprzedał świeżo amerykańskiemu miljonerowi Vanderbiltowi obraz T u r n e r a „Canal grande“ za sumkę 20.000 funtów szterlingów. Takie ceny brać za obrazy, to nie nowina dla lorda Dudleja, gdyż przedtem sprzedał on już rządowi niemieckiemu jednego „Fra Angelica“ za 10.000, a księciu Amnesle za 25.000 funtów szterlingów R a f a e l a „Trzy Gracje“. Takie więc bajeczne cyfry płacą się teraz za pierwszorzędne dzieła sztuki, a prawdziwi amatorowie lub tacy bogacze jak Vanderbilt idą nawet wyżej, czego wymownym przykładem, że właśnie ów amerykański miljoner zaufany w nieprzeparty urok dolara ofiarował królowej Wiktorji za obraz Meissoniera „Walczący“ 100.000 funtów i dziwił się, kiedy grzecznie lecz stanowczo odmówiono jego ofercie, gdyż ofiarował on ni mniej ni więcej tylko 100 razy tyle, wiele za ten piękny obraz zapłacił malarzowi cesarz Napoleon III., przeznaczając go w podarunku ks. Albrechtowi. Istotnie była to najwyższa cena, jaką w naszych czasach zapłacono za dzieło pendzla, chociaż przyzwyczailiśmy się do cen olbrzymich, które rzeczywiście za dzieła sztuki płacono. I tak dla przykładu wystarczy przypomnieć, że galerja londyńska nabyła Rafaela „Madonnę“ za 70.000 funtów, louvrska galerja zakupiła ze spadku po marszałku Soulcie jednego Murilla za 23.440 funtów a za Munkaczego „Crystusa przed Piłatem“ zapłacił amerykański bogacz Wanaker 30.000 funtów.

Część ekonomiczna.

§ **„Krajowe domy składowe na zboże i spirytus“.** Z Krakowa donoszą nam, że tameczny „Bank galicyjski dla handlu i przemysłu“ ofiaruje się udzielać na kwity składowe zaliczki 60 do 80 procentu każdorazowej wartości złożonego w domie składowym produktu, zajmować się eskontowaniem kwitów składowych w Banku austro-węgierskim lub w Banku krajowym i oddane mu w komis zboże lub spirytus sprzedawać na rzecz właścicieli pod warunkiem wyzyskania najlepszych konjunktur handlowych, o których stale i szczegółowo Bank galicyjski jest poinformowany.

§ **Pierwsze losowanie** świeżo w obieg puszczonych obligów propinacyjnych odbędzie się zgodnie z planem umorzenia już 30 bm., a wylosowanych zostanie obligów za kwotę nominalną 691.000 zł. Wylosowane przy tem ciągnieniu obligi spłaci dyrekcja funduszu propinacyjnego w pół roku później w pełnej ich wartości, a niejeden szczęśliwy właściciel propinacji, który wziął indemnizację nie w gotówce, ale w obligach, może obecnie otrzymać za 88 zł. 32½ ct. pełną kwotę 100 zł.

§ **Kuratorem listów zastawnych** galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Krakowie, którego likwidację przeprowadza obecnie galicyjski Bank krajowy, został zamianowany adwokat dr. Stanisław K r z y ż a n o w s k i.

Wiedeń 22 stycznia.

(Z) W przekonaniu, że giełda berlińska nie odstąpi od wczoraj zagajonej zwyżki i opierając się na pomyślniejszych wiadomościach z Westfalji i podniesieniu się ceny żelaza w Anglji i miedzi w Paryżu, rozpoczęto dzisiejsze operacje w podnieconem i ochoczem usposobieniu. Istotnie też nie pomylono się, licząc na animozję berlińlińskiej spekulacji, bo nie zadała ona kłamu ustalonej opinji, iż pogardza wszystkiemi niebezpieczeństwy, a za zyskiem gotowa pójść w piekło. Tym razem nie potrzebowała iść tak daleko, bo z kłopotu wybawiła ją łatwowierna publiczność.

Owóż zaledwie rozeszła się pogłoska o wczorajszej repryzie, już dziś od samego rana poczęła się publiczność rwać do zakupna papierów górniczych. Ten popyt podniósł nagle ich kursa, a już dalej popychała je w górę spekulacja giełdowa. W tej czynności przeszkadzała wprawdzie natarczywie kontrmina i chwilowo zwyciężała, lecz w końcu uległa, bowiem, po częstych i gwałtownych wahaniach się kursów, ostatecznie przyszła znów do skutku nieznaczna repryza i zeszły z parkietu wszystkie górnicze efekta ze wzmocnionemi notowaniami. Taki ruch na giełdzie berlińskiej podziałać musiał dodatnio na nasz targ pieniężny, tem więcej zaś, że stale utrzymywała się pogłoska, jako bank austro-węgierski od jutra obniży stopę procentową. Optymiści, a tych uwija się sporo na naszym parkiecie, otrzymywali, że to obniżenie będzie równe ostatniemu podwyższeniu, a przeto, iż stopa procentowa znowu spadnie o 1 procent. Już to dziś przeważał u nas optymizm i jemu to przypisać chyba, że sztuczne podnoszenie ceny miedzi przez rozbitków z upadłej „Societé des metaux“ brano za czynnik dodatni i cieszono się nim, jak cieszono się pod wyżką cen żelaza na targu glazgowskim.

Traktując obie podwyżki na równej stopie, zapominano, że kiedy podniesienie się ceny żelaza i stali po za granicami Niemiec może być skuteczną pomocą dla zagrożonego kopalnictwa żelaza w Niemczech, gdyż ułatwi niemieckiemu przemysłowi konkurencyjną walkę z górniczym przemysłem Anglji, Francji i Belgji, to chyba nie tą miarą należało mierzyć wyśrubowane w Paryżu ceny miedzi, gdyż owe wysokie, do 58 funtów wypędzone ceny nie wynikły wcale z umniejszonej produkcji a zwiększonego zapotrzebowania konsumcji — ale są grą spekulacyjną, żeby chociaż chwilowo podwyższyć wartość owych zapasów miedzi zbankrutowanego „Kupferringu“, na które zaliczyły kilkadziesiąt miljonów najprzedniejsze instytucje francuzkie z bankiem francuskim na czele. To przeoczono widocznie, bo w podniesionem usposobieniu brano liczmany za dobrą monetę, dając naprzykład wiarę pogłoskom, iż ktoś nie mogąc dostać akcyj asekuracyjnego towarzystwa „Anker“, a chcąc koniecznie ją nabyć, ofiarował za akcję o nominalnej wartości 1000 zł. kwotę 6500 zł., t. j. o 2000 zł. wyżej po nad notowany kurs tych akcyj. „Selig, die glauben“, powiada przysłowie, ja jednak nie wierzę, bom własnemi oczami nie widział owego ciekawego egzemplarza a nawet gdybym go był widział, nie zapomniałbym, że owych akcyj jest jedynie w obiegu sztuk 500, że znajdują się wszystkie w stałych rękach, że przeto można bezkarnie nie 6500 ale nawet 10.500 zł. ofiarować i nie dostać tych akcyj. Pomimo to wyzyskiwano dziś i tę pogłoskę, aby popychać kursa naprzód, jak wyzyskiwano wiadomości o jakiejś zgubie 600.000 zł., którą odszukać miał Unionbank w aktywach upadłego „Węgierskiego Towarzystwa dla wyrobu papieru“. Wszystko to razem złożyło się na to, iż dzisiejszy dzień skończył się znów repryzą i że znów wziął w niej udział z małemi wyjątkami cały materjał giełdowy.

Oto ostateczne notowania:

Kredyty austrjackie 323·—, węgierskie 347·—, Anglobanki 162·90, Uniony 261·75, Bankvereiny 124·80, Länderbanki 236·10, Ludwiki 188·25, Czerniowieckie 236·—, Renta papierowa 88·20, srebrna 88·30, austrjacka złota 109·99, papierowa 101·80, węgierska złota 102·30, papierowa 99.25. Ruble 1·30¼.

Telegramy „Przeglądu“.

Ateny 24 stycznia. (Doniesienie „Ajencja Havasa“). Nowo mianowany rosyjski poseł Onou przybył tutaj. Rezerwy powołano na marzec.

Praga 24 stycznia. Wedle doniesień staroczeskich dzienników zostać ma protektorem czeskiej akademji umiejętności arcyksiążę Karol Ludwik.

Ateny 24 stycznia. Ajencja Havasa donosi, że z powodu przedsięwziętych wyborów do Izby obrachunkowej uderzyły dzienniki namiętnie na rząd, a opinja publiczna jest mocno podniecona. Krążą pogłoski o bliskiem złożeniu gabinetu bezbarwnego, któryby rozwiązał Izbę.

Berlin 24 stycznia. W parlamencie niemieckim toczyły się dalej obrady nad ustawą przeciw socjalistom. Przyjęto paragrafy 11, 13 i 22.

Herrfurth oświadczył, że konieczną jest rzeczą zaprowadzić mały stan oblężenia i nie ograniczać ustawy tylko na pewien przeciąg czasu. Niemieckie rządy sprzymierzone widzą tylko w trwałej ustawie skuteczny środek zaradczy. Socjalna demokracja kieruje swoje ostrze przeciw całemu społeczeństwu, a każdemu, który jej sprzyja, można powiedzieć: „Tua res agitur“ (idzie tu o twoję skórę). Paragraf 23 przyjęto.

Buhl oświadczył w imieniu stronnictwa narodowo-liberalnego, że stronnictwo to gotowe jest głosować za tem, aby ustawa była trwałą, lecz co się tyczy postanowień o wydalaniu z kraju nie może niestety podzielać zapatrywań rządu. — Stronnictwo jego przeświadczone jest o tem, że socjalna demokracja jest niebezpieczną i zdecydowanem jest bronić interesów państwa, lecz co się tyczy wydalań, musi wytrwać na zajętem przez siebie stanowisku.

Parlament wykreślił paragraf o wydaleniach i przyjął w końcu 166 głosami przeciw 111 paragrafy orzekające trwałość ustawy.

Paryż 24 stycznia. Deputowany Breteuil wniósł w izbie interpelację w sprawie protektoratu Włoch nad Etiopją i w sprawie położenia francuskich poddanych w Etjopji. W odpowiedzi na tę interpelację oświadczył minister spraw zewnętrznych, że znany mu jest tylko jeden artykuł włosko-etjopskiego układu, całego zaś układu nie zna jeszcze i prosi przeto, aby debatę w tej sprawie odłożono, dopóki nie otrzyma jakichś pewnych wiadomości o tym układzie. Wniosek ten izba przyjęła.

Bukareszt 24 stycznia. Posiedzenia parlamentu rozpoczęły się dzisiaj. Izba uchwaliła wnieść na porządek dzienny posiedzenia, które się odbędzie we środę, kwestję postawienia ministerstwa Bratiana w stan oskarżenia.

Z powodu śmierci ks. Aosty zarządzoną została dwutygodniowa żałoba dworska, począwszy od dnia 21 stycznia.

Charleroi 24 stycznia. Strejk robotników w tutejszych kopalniach węgla ustał już zupełnie.

Praga 24 stycznia. W budżetowej komisji sejmu czeskiego zawiadomił przewodniczący, że Cesarz zatwierdził statut czeskiej Akademji umiejętności.

Lizbona 24 stycznia. „Ajencja Havasa“ donosi, że w politycznych i handlowych lizbońskich kołach podejrzewają, iż zarówno wiadomości o tem, że portugalskie władze kolonijalne wypowiedziały posłuszeństwo rządowi lizbońskiemu, jakoteż groźny ton artykułów dzienników angielskich, dążących do rozdrażnienia opinji publicznej w Portugalji i wywołania poważnych rozruchów, mają jedno i drugie jedynie na celu usprawiedliwić potrzebę użycia angielskiego wojska w portugalskich kolonjach.

Jednakże przewrotny ten zamiar dotychczas się nie udał i tak w Portugalji jak i w portugalskich kolonjach panuje zupełny spokój.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

24 stycznia 1890.

HOTEL GEORGE. A. Abrahamowicz z Targowicy. J. hr. Krasicki z Bachurca. T. br. Horoch z Krakowa. B. Schwanits-Szwantowski z Niedźwiad. M. Rudnicka z Strzałek. K. Stojałowski z Paczeryn. T. Neymanowski z Mikulic. A. Fedorowicz z Rzeszowa. H. Dunimirski z Hintersee. F. Wysocki z Uwina. Dr. B. Guńkiewicz z Podgórza.

Z zbożowych targów.

24 stycznia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	8 70 9 —	8 30 9 10	8 .0 9 —	8 85 9 50
Żyto	7 5? — 8 10	7 .5 7 85	7 10 7 7	7 65 — 8 80
Jęczmień	6 25 — 8 5	6 — 8	6 — 8 —	6 75 8 70
Owies	7 50 — 8 —	— — 7 50	7 5 —	7 25 8 —
Groch	6 75 11 —	50 11 —	6 — 12 —	7 — 13 —
Wyka	6 50 6	4 50 5 25	0 — 0 —	— — —
Rzepak	15 50 16 5	5 — 16 —	5 — 6 —	15 65 16 75
Lnianka	— — —	—	—	—
Konic. czer.	49 65	48 64	48 63	50 65
Konic. biała	— —	—	— —	— —
Konic. szwed.	— —	—		—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Rzepak poszukiwany.

Lwów. Z Izby handlowej 24 stycznia 1889

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	187 —	190 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	235 —	238 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	294 —	— —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr		
Banku hyp. galic 5 prc. w. a.	101 —	102 —
6% Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 lat.	— —	— —
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	104 75	105 75
Banku krajowego 4½% wa.	98 25	99 25
Tow. kred. galic. 5 „ „	101 50	102 50
„ „ „ 4 „ „	96 75	97 75
„ „ „ 5 „ „ los w 37. l.	101 50	102 50
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	94 40	95 40
„ „ „ 4 „ „ „ 52 l.	99 40	100 40
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	93 40	94 40
3 Listy dłużne z 100 złr		
G. Z. kr. wł. (d 6%) 3% w likw.	55 —	58 —
„ „ „ „ (d) 5 2	6 —	49 —
4 Obligi za 100 zł.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 50	105 50
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100 50	101 50
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	104 —	106 —
„ „ „ 1883 4 „	97 25	97 25
Galic: fund. propinacyjnego 4 % „	91 60	92 60
5 Losy.		
Losy miasta Krakowa	23 —	25 —
„ „ Stanisławowa	— —	36 —
6 Monety		
Dukat holenderski	5.46	5.56
Dukat cesarski	5.53	5.63
Napoleondor	9.38	9.48 —
Półimperjał rosyjski	9.65	9.75
Rubel rosyjski srebrny	1.32	1.42
„ „ papierowy	1.29	—1.31
100 marek niemieckich	57.60	58 60

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 24 stycznia godz. 1. min. 45

Akcje kredyt.	324.—	Węg. kolej półn. wschodn.	190 50
Alpiny	105.80	Wiedeńskie losy kom.	143.—
Kredyty węg.	251.25	Akcje tyton.	118.20
Anglobanki	163 10	Gal.obl.indem.	104.50
Uniony	261.75	Elbethale	221.—
Ludwiki	187.75	Länderbanki	235.80
Nordbany	260.50	Renta zł. węg.	102.35
Lombardy	137.75	Bankvereiny	124.—
Losy tureckie	37.10	Renta węg. pap.	99.30
Staatsbahny	226.75	Ruble	130.25
Czerniowieckie	236.—		

Usposobienie spokojne.

Pociągi kolejowe.

Podług zegaru lwowskiego (Od 1 października 1889.)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg posp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mięszan.
Z Krakowa	4·08	8·50	9 28	7·15
Z Podwołoczysk	2·20		3·15 P.mie	7·00
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·02	10	2·38 P.mie	6 22
Z Suczawy, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa	8.05	2·—		
Z Suczawy, Czerniow. i Stanisł		6·55		
Z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		3·35		
Z Suchej, Chyr. Ław. i Stryja		8·46		
Z Pesztu, Ławocznego, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		12·08		
Z Bełzca (Tomaszowa)				5·21
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	4·20	7·20	8·30
Do Podwołoczysk	4·11		9·52 P.mie	10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4 22	7·—	10·28 P.mie	11·05
Do Suczawy Czerniowiec, Stanisławowa i Husiatyna	9 16	10·13		
Do Stanisławowa, Czerniowiec i Suczawy		4·25		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Chyrowa i Suchej		8·45		
Do Stryja, Chyr. Ław. i Suchej		10·20		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Stróża		5·50		
Do Bełzca (Tomaszowa)				7 43

Uwaga: Godziny drukowane kursywą, oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5 m. 59 rano.

38)

CZERWONA DAMA.

Powieść z francuskiego.

(Ciąg dalszy.)

Usiadł znowu przy stole, a twarz jego, skrzywiona boleścią, przybierała zwolna wyraz energicznego postanowienia.

— Dobrze więc! — zawołał nagle — działać będę sam.

I biorąc na nowo jeden papier po drugim, a patrząc, równocześnie na kartkę, leżącą obok, zapełnioną jakiemiś informacjami, napisał te wyrazy u góry: — 24 maja 1830 — Henryk wykradziony z Hawru. Okręt Woroneż z Rygi, koniec 1830 r. ostatnie poszukiwanie przez policję berlińską i petersburską.

Trochę znów niżej zaczynała się notatka szczegółowa o przedmiocie całkiem innym:

— Noreff przybył do Francji na nowo, z początkiem 1832 — Ludmiła Rudlof i siostra jej Wanda — 19 lat i 8 lat — jenerał de Mensignac zmarł w nocy 8 marca 1833-go roku. Śledztwo przeciw niemu rozpoczęte na trzy tygodnie przedtem, za spiskowanie legitymistyczne. Sposób życia Noreffa zmieniony od czasu śmierci jenerała. Częste jego wyjazdy od 1833 do 1848 r. Ustalony w Paryżu od tego czasu, akta w prefekturze, nie zawierają żadnego faktu po r. 1833.

Nakoniec, na rogu kartki, trzy wiersze pismem drobnem tej treści: — Zdaje mi się, że widziałem Zuzannę w powozie, w lasku Bulońskim 7 kwietnia 1838 r., siedziała obok młodej dziewczyny. Pismo wysłane po raz ostatni do magistratu w Glasgowie w r. 1850. Odpowiedź ostateczna: nic się nigdy nie dowiedziano ani w Szkocji ani w Normandji.

Jottrat odczytał pokilkakrotnie te zagadkowe frazesy. Oczy jego przechodziły z jednej notatki na drugą, jak gdyby w ten sposób chciał zbliżyć do siebie fakta wskazane, i odgadnąć tajemny, łączący je związek.

— Tak — rzekł zwolna — tu tkwi zagadka i jej rozwiązanie. Margrabia zniknął, bo przeszkadzał Noreffowi, tak, jak i jego ojciec zginął, wmięszany w konspiracyą przez tego cudzoziemca. I tego-to człowieka nie śmie pilnować policja, dla tego, żeby nie obrazić jego rządu. Gdybym był tak silnie nie nalegał, uważając za rzecz konieczną, dla sprawdzenia kiedyś tożsamości osoby, byliby nawet nie zabalsamowali głowy tej nieszczęśliwej kobiety. Jedna mi tylko pozostaje nadzieja, to jest: znaleść sposób dostania się do środka pałacu Noreffa, bez wzbudzenia podejrzeń. Mam urlop miesięczny; Noreff nie widział mnie nigdy, a jeśli widział to już zapomniał. Miesiąc obcowania z nim, lub z jego ludźmi, pozwoli mi zajrzeć jasno w to, czego dziś wytłómaczyć sobie nie umiem. Niechże się on strzeże!

Wypowiedziawszy półgłosem swoje refleksje, ucałował raz jeszcze medaljon, uporządkował papiery w kuferku, zamknął go starannie i zaniósł do swego biórka, jedynego sprzętu ozdobnego w tej izbie.

Jeden tylko dokument pozostał na stole, zapewne umyślnie przez niego zostawiony, bo skoro tylko kuferek schował, zasiadł znowu do stołu i zaczął go czytać z wielką uwagą. Był to papier podłużnego formatu, pokryty pismem bardzo gęstem z ogromnym marginesem, który, na pierwszy rzut oka, okazał się raportem policyjnym.

— Co oni tam plotą? — szepnął, wzruszając ramionami — zapewne mało treści w wielu słowach, wreszcie skoro mi akt oddali, pewnie nic z niego wyciągnąć nie można.

— Kto wie! — zawołał nagle — oni go czytali, ale trzeba umieć czytać.

Raport miał w nagłówku te wyrazy, skreślone ogromnemi literami:

— Śledztwo i poszukiwania w sprawie margrabiego Rogera de Mensignac.

„Jest dziś już niezaprzeczoną rzeczą — opiewał raport, że margrabiego nie ma w Paryżu, a jest prawdopodobnem, że nie umarł. Dokonano najściślejszych poszukiwań; przeszukano nawet Sekwannę, lecz nie znaleziono żadnego trupa, podobnego do margrabiego. Szczegóły, dostarczone przez ludzi z pałacu na Trocadero, nie pozwalają przypuszczać, żeby zbrodnia została popełnioną; ale informacje, zaczerpnięte co do zwyczajów margrabiego, mogą pomódz do odnalezienia prawdziwej przyczyny jego zniknięcia.

„Wtajemniczony przez swego ojca w ruch legimistyczny r. 1832, pozostał jednym z najwprawniejszych agentów stronnictwa, przez które utracił swój majątek. dobrze już napoczęty za życia jenerała ojca. Od piętnastu lat, życie margrabiego było szeregiem wypadków tajemniczych, motywowanych sprawami pieniężnemi.

„Nikt nie znał stanu jego fortuny; pałac na Trocadero należy do jego siostry, która go obecnie na sprzedaż wystawia. Zdaje się bardzo prawdopodobnem, że margrabia, mając do wypłaty znaczną sumę, a nie będąc w możności jej uiszczenia, schronił się na prowincją. Pięć lat temu, częste jego podróże na granice Bretanji i Normandji stwierdzone zostały, a obecność jego w kraju, gdzie go nie wzywały żadne interesa znane komu bądź, nie wytłumaczoną jest dotąd. Możnaby w tej mierze uczynić zapytanie w obydwóch departamentach de la Manche i d'Ile-et-Vilaine.

„Badanie dokonane co do łączności zniknięcia margrabiego z morderstwem kobiety, której głowę ucięto, nie doprowadziło do niczego. Kobiety tej nikt nigdy nie spotkał razem z margrabią, wprost przeciwnie ze zdaniem kilku z osób. które się dały złudzić podobieństwem.

„Co się tyczy pugilaresu, znalezionego w koszyku zawierającym głowę, nikt ze służby margrabiego nie widział go nigdy w jego posiadaniu, a godła, które łatwo poznać na wierzchu, zdają się być herbem fantazyjnym, cokolwiek podobnym do herbu margrabiego de Mensignac.

„Po za bywaniem w klubie, i to ograniczonem w ostatnich latach, margrabia nie uczęszczał prawie nigdzie, nikt też nie wiedział o żadnym jego stosunku z kobietą. Jedynym jego przyjacielem jest pan de Sartilly, który, jak mówią, ma się ożenić z jego siostrą, lecz rana, odniesiona w pojedynku, przeszkodziła temu."

— Raniony w pojedynku — krzyknął Jottrat, upuszczając raport — więc dla tego nic o nim nie słyszałem! Moja też w tem wina — dodał ze wzrastającem wzruszeniem — powinienem był ciągle się dowiadywać, zamiast unikać szpiegów pana de Noreff.

Potem zapytał samego siebie, po chwili milczenia:

— Raniony w pojedynku, lecz przez kogo?

Raport o tem milczał, kończąc się temi słowy: „Ciężkość rany nie pozwala wybadywać pana de Sartillego co do niektórych szczegółów, tem bardziej, że zaraz po wypadku, złożył swoje zeznanie w w Prefekturze".

W chwili, gdy Jottrat kończył czytanie raportu, dał się słyszeć dzwonek u jego drzwi. Agent schował roztropnie raport do kieszeni i pospieszył otworzyć. Stał jakiś mężczyzna na progu. Kiedy się posunął bliżej ze światłem w ręku, omało nie krzyknął ze zdziwienia. Zdumienie jego było tak silne, że musiał oprzeć się o ścianę, ażeby nie upaść.

Poznał pana de Noreff.

Stał on we drzwiach otwartych spokojny, jak człowiek, który przychodzi ze zwykłą wizytą, i dotykając grzecznie swego kapelusza, zapytał:

— Czy z panem Jottrat mam przyjemność?

Agent zrozumiał, że trzeba przedewszystkiem pokryć swoje zmieszanie. Nie pojmował jeszcze celu wizyty pana de Noreff, ale czuł, że jeśli taki człowiek odważa się przyjść do niego, to chyba pewnym jest, iż on go nie pozna. Trzeba więc było strzedz się oznaki najlżejszego choćby zadziwienia, ażeby wyciągnąć korzyść z tej pomyłki niebezpiecznego wroga. Światło było zbyt słabe w chwili pierwszego zmieszania Jottrata, mogło przeto ujść uwagi pana de Noreff.

Uspokojony zupełnie, odpowiedział głosem wolnym:

— Ja nim jestem.

I dodał uprzejmie:

— Proszę pana wejść.

Dostrzegł, że oczy pana de Noreff wlepione były weń z dziwnym wyrazem i dla tego podwoił grzeczności. Cudzoziemiec podziękował skłonieniem głowy i poszedł już bez wahania w skromne progi izdebki Jottrata.

Jottrat nie miał czasu oprzytomnieć i zastanowić się nad przyczyną i następstwami tych odwiedzin wcale niespodziewanych. On, który tak pragnął znaleźć pozór, ażeby się dostać do domu pana de Noreff, mógł teraz wejść z nim w stosunek w sposób najprostszy. Krok ten nieprzyjaciela, być może, że ukrywał zasadzkę, lecz jemu zdawało się, że da sobie rady z najzdradliwszymi.

Przypatrywał się ciekawie temu człowiekowi, który od lat piętnastu grał rolę tajemniczą w jego życiu, i którego przez cały ten przeciąg czasu miał ciągle na oku.

— Podstarzał się, — pomyślał Jottrat — ale ani oczy ani usta nie zmieniły się.

Pan de Noreff zdawał się nie uważać wcale, że go Jottrat obserwuje. Rozsiadł się na krześle z najzupełniejszą swobodą i zabrał się do przemówienia z takim spokojem, jak gdyby kogoś przyjmował w swim pałacu na ulicy des Varennes.

— Mówiono mi — rzekł — bardzo wiele o pańskiej zręczności, i dla tego udaje się do niego w ważnej, bardzo mnie obchodzącej sprawie.

— Przepraszam pana — przerwał Jottrat — ale zanim zaczniemy rozmowę, pragnąłbym wiedzieć z kim mam zaszczyt mówić?

— Bardzo słusznie i oto mój bilet wizytowy — odrzekł pan de Noreff, podając swój bilet, na którym pod koroną i herbem wypisane było nazwisko i tytuły.

Na taki dowód zaufania zdziwił się cokolwiek Jottrat, zaczął bowiem przypuszczać, że odwiedziny przy których nie lęka się Noreff zostawić dowodu materjalnego, muszę mieć przyczynę naturalną i godziwą. Wprawdzie względem tego ohydnego człowieka przypuszczenie to wydawało się wątpliwem, lecz przecież miał sposób przekonania się natychmiast o tem. Po przeczytaniu więc biletu, przybrał minę pełną uszanowania i zapytał z dobrze udanem zakłopotaniem:

— Wolnoż mi zadać jedno jeszcze zapytanie, zanim zaofiaruję moje usługi?

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Braci Fjälkowskich w Białej. — Z drukarni bar. Manieckiego. — Zarządca Walenty Hodsk.